

KRONIKA RODZINNA.

PISMO DWUTYGODNIOWE.

WARUNKI PRENUMERATY:

Prenumerata wynosi w Warszawie: rocznie.....rsr. 4 kop. —
półrocznie..... „ 2 „ —
kwartalnie..... „ 1 „ —
Na prowincji i w Cesarstwie dla nad-
syłających pieniądze na prenumera-
tę wprost do Redakcji: } rocznie..... „ 5 „ —
półrocznie..... „ 2 „ 50
kwartalnie..... „ 1 „ 25

Prenumerować można na wszystkich urzędach pocztowych, w Ekspedycji Gazet, w wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych i w Redakcji, przy ulicy Mazowieckiej, dom hr. Zamojskiego Nr. 1346; W Krakowie, w księgarni pana Friedleina; w Poznaniu, w księgarni p. Leligobera; we Lwowie, w księgarni pp. Czajkowskiego i Seyffartha.

SPIS ARTYKUŁÓW. — Listy z podróży A. E. Odyńca. — Stanowisko praktyczne dawnych niewiast, przez Wł. Chomętowskiego. — Listy z Petersburga, przez Artura Dolińskiego. — Wiadomości literackie. — Eglantyna, powieść pani Beecher-Stowe, przekład z angielskiego J. C. — Odpowiedź.

LISTY Z PODRÓŻY.

A. E. Odyńca ¹⁾.

XXXVIII.

Do Juljana Korsaka.

Florencja (Firenze), 3 Listopada 1829 r.

Choćbym miał z tuzin oczu i ze cztery ręce,
Nie byłoby to jeszcze nadto na Firenzie,
Gdzie tyle jest *co widzieć*, i tyle *co pisać*. —
Lecz gdy męka autorom treść z pióra wysysać,
Nie mniejszy bodaj kłopot, kiedy nawal treści
Bucha tak, że się w głowie nakoniec nie mieści,
A wrąc w niej i belkocąc, jak w kociołku wrzątek,
Mąci nie tylko watek, ale i początek.

Doświadczam tego na sobie. Od dwóch dni łamię głowę z jakiej beczki zacząć — a dotąd wszystkie pod szpuntem. A jest tych beczek w głowie jak w piwnicy; tak, że na sam ich widok, już się w mózgu kręci.

Lecz zacząć — mówi Horacy —
Jest to już zrobić pół pracy.

Dimidium facti habet, qui coepit. A więc postanowiłem koniecznie zacząć dziś, i zaczynam — ale daję ci słowo, że jeszcze sam nie wiem od czego. Wprawdzie wiem dobrze, czegoś najciekawszy — Medycejskiej bogini piękności! Ale ja właśnie o niej chciałbym mówić najpóźniej, aż się lepiej nauczę czuć ją i oceniać. Wiedz bowiem, że piękność żywa tak się ma do piękności w sztuce, jak płomień do krzemienia. Ten cię chwyta i piecze odrazu; z tego musisz naprzód iskrę wykrzesić — potem na nią chuchać i dmuchać, aż się także w płomień roznieci. Rafaelowski pędzel, całą tęczą farb nie dokaże tyle, co nieraz jeden rumieniec na liczku. Jedna intonacja głosu, może sercem wstrząsnąć potężniej, niż cały chór orkiestry z waltorniami i z bębniem. W jedném słówku tchnąć może poezyi więcej, niż jęć w tomie wierszy wyczytasz. O stosunku żywych kształtów i rzeźby, sam już sobie w duszy dośpiewaj. Ale z tego wszystkiego co mówię, zgadnąć już możesz łatwo, żem jeszcze nie w extazie przed posągami bogini. Mówię *jeszcze*, bo być bardzo może, że będę. W galeryach tutejszych jest tłum

wdziękin kamiennych, nimf i bogiń, ubranych i całkiem w *negliżu*. Otóż na porównaniu z każdą Medycejka coraz więcej zyskuje, chociaż sama przez się odrazu nie czyni spodziewanego wrażenia. Przynajmniej nie uczyniła go na mnie. Wina w tém pewno moja, nie Kleomenesa, (tak się nazywał jęć snycerz). On tworzył ręką mistrza, ja patrzę okiem profana. Dla mnie piękność — to wyraz duszy i powab; dla artysty — to doskonałość wydania, i harmonia rysów i kształtów. Allan, jako artysta, czuje to i admiruje w Wenerze, chociaż nie może nie przyznać, że pani *Zofijówki* była od niej piękniejsza i miłsza.

Pocziwy, kochany Allan! Tak się już do nas po bratersku przywiązał, że nie tylko jest naszym nieodstępny *trzeciakiem*, ale nawet prosi formalnie, abyśmy go nie wypuszczali z opieki, (to jest właściwie, nie chwalać się, ja, który jestem jego płatnikiem, dragomanem i przewodnikiem), i obiecuje swój pobyt zastosować tu do naszego, byle razem jechać do Rzymu. Nie mieszkamy jednakże razem. My od wczoraj mamy mieszkanie prywatne, które dla nas wynalazł *Ciampi*, (*Canto alle rondini Nr. 7000, ulica Pianellai*); Allan został w oberży *di San Luigi*, gdzie nas wszystkich wetturyn wysadził.

Ale *à propos* tej oberży, muszę ci opowiedzieć historijkę o Adamie, która stanowi w sobie jakby cały dramat, a przytém i dość charakterystyczny epizod naszej podróży. Prolog dzieje się w Wenecyi. Napomykałem ci już kiedyś poprzednio, że w ostatnich dniach naszego tam pobytu Adam był w kwaśnym humorze. O przyczynach pisać nie chciałem, ale teraz widzę, że muszę. Jedną z nich był i kwas na mnie — ale czy słusznie, sam osądź! Od zmiany we Frankfurcie *kredytywy* na złoto, ja byłem kasyerem Adama, to jest, dźwigałem w mojej kieszeni to złoto, i opędzając z niego wspólne koszta podróży, właścicielowi dawałem do rąk tylko na drobne wydatki. Ale te *drobne wydatki* w Wenecyi, zaczęły trącić coraz bardziej swój *drobnostkowy* charakter, tak, że jako wierny stróż skarbu, ośmieliłem się w końcu zrobić nad tém uwagę. Pryncypał mój atoli nie przyjął jęć wdzięcznie; spójrzal owszem na mnie tym wzrokiem, jakim zapewne Król Ludwik XIV zabił kiedyś pocziwego Rasyna — i dał mi formalną dymisyję z mego urzędu kasyera, mówiąc grzecznie i sucho: „Proszę mnie oddać moje pieniądze!” — Oddałem, nie nie mówiąc, razem z rachunkiem, który utrzymywałem bardzo akuratanie. On go zgniótł nie czytając w rękę, rzucił do kąta i wyszedł. Ja podjąłem, odprostowałem, i schowałem na powrót u siebie. Cała ta scena zresztą odbyła się w parę

¹⁾ Ob. N-ra 2, 4, 5, 8, 10, 12, 16, 18, 19, 21 i 24 r. z.

minut w milczeniu, i więcej mowy o niej nie było. Ślad jęj wszakże pozostał w humorze stron obu; aż wreście nocleg w Padwie całkiem go i na zawsze zagładził. Ale skarb odtąd był już przy Adamie. Przesypał go tylko z rulionu do paciorkowego woreczka z kłamrą, roboty panien Heleny i Celiny, i nosił w bocznej kieszeni, a na noc kładł pod poduszkę. Teraz scena przenosi się do Florencyi. Dwa dni temu, śpiesząc jakzwykle, wyszliśmy rano do kawiarni, gdzie codziennie schodzimy się z Allaniem. Mieliliśmy pójść trochę za miasto, ale że czas był brzydki, uchwaliliśmy raczej przebyć go w galerii Pitti. Wróciliśmy więc po katalog do domu. Klucz był jak zwykle u *garsona* oberży, który po wyjściu naszym urządzał pościele i sprzęty, a który, *inter parenthesim*, jest młody, rzeski i bardzo rozmówny chłopak, a że chętnie słucham go i rozmawiam, więc z tego względu wielki mój przyjaciel. Ledwie mię spostrzegł—zaczyna kręcić głową, śmiać się figlarnie, i ćmakać—co u Włochów jest bardzo zwyczajnym akcentem.—„*Cosa é?* (co to jest?) pytam zadziwiony.—„*Ah! ah! ah! il suo amico! il suo amico!*” (ach, ach, ach! pański przyjaciel! pański przyjaciel!)—„Cóż on zrobił takiego?”—pytam znów zaniepokojony.—„Co zrobił?..” powtarza szyderezco;—i znów kiwając głową, śmiejąc się i grożąc palcem dodaje: „*Se fossi un birbante—ebbene! che sarebbe?*” (gdybym był złym człowiekiem—no! to cóżby było?).—„*Ma, per Dio! caro Luigi!*”—zawołałem prawdziwie z przerażeniem—„Co to ma znaczyć? nie rozumiem.”—On za całą odpowiedź, zwraca się do stolika, wysuwa szufladkę, i wydobywa z niej—co?—Paciorkowy worek ze złotem. Struchlałem jakim skamieniał. A on z tryumfującym uśmiechem oddaje mi worek i mówi: „Możecie panowie przeliczyć!”—i znów śmiejąc się i grożąc dodaje: „Ale pamiętajcie, panowie, że nie wszędzie jest taki Luigi!”—i to mówiąc stuka w siebie palcem jak dzidą. Uścisnąłem go czule, ochłonawszy z przestachu; a wracając, wyznaję, że tryumfowałem sam w sobie, i że studenczką uciechę rozmyślałem nad tém, jakby i za pokutę Adama trochę przymęczył, i nie przerazić go zbyt, lub nie obrazić. Zastałem go rozmawiającego w najlepsze z Allaniem, jak gdyby miał wszystko w porządku. Spytałem czy ma drobne dla rozpląty w kawiarni? Sięgnął do kieszeni—i zamilkł. Już chciałem go uspokoić—bo mi się żal go zrobiło; gdy wtém on, nadrabiając fantazją, jakby nie go nie frasowało, odfuknął mi tylko opryskliwie, że nie ma, i że ja mam za niego zapłacić. „Czy tak? mój dobrodzieju!”—pomyślałem sobie—„obaczmyż, jak ty długo dotrzymasz?”—Jakoż po chwili powstał, wziął kapelusz, i chciał wychodzić. „Dokąd to?”—zapytałem.—„Poczekajcie mnie, zaraz powrócę”;—a mówił to już bardzo łagodnie. Dopuszciliśmy go aż do progu—a wtedy śmiejąc się zawołałem: „No, no! wróć się, i bądź spokojny!”—Zaczerwienił się aż po uszy; ale znać było po nim że odetchnął swobodniej. Wziął mię za ramię, i pocałował w czoło. Allan musiał się zdziwić, skąd ta nagła czułość. Nic mu wszakże nie powiedziałem o tém. Ale worek odtąd znów u mnie. Właściciel dał zeń tylko dwa ludory poczciwemu *Luigi*, który je przyjął z gorącą, serdeczną wdzięcznością, i dopomagał nam gorliwie w przenosinach na nowe mieszkanie. Nie prawdaz, że jest w tém cały dramat, i że się w nim maluje charakter bohatera?

Ale ponieważ zacząłem już o nas samych—więc i dalej wyczerpuję ten przedmiot. Napomknąłem wyżej o *Ciampim*. Jest to przyjaciel i korespondent pana Joachima, który mię właśnie listem do niego opatrzył; były professor uniwersytetu Warszawskiego, z emerytury, którą ztamtąd pobiera, żyjący tutaj sobie na

dwowocy literackiej i trudniący się zawsze piśmiennictwem, w przedmiotach zwłaszcza, że się tak wyrażę, polsko-włoskich, to jest takich, które razem zarówno obu krajów dotyczą. Takiem np. jest dzieło jego: „O uczonych, lekarzach, i artystach włoskich w Polsce, i o polskich we Włoszech.” Pokazywał nam wiele ciekawych materyałów historycznych, które także skrzętnie zgromadza i przygotowuje do druku. Składają je między innymi: Instrukcye różnych Papieżów, dawane Nuncyuszom w Polsce; Raporta tychże Nuncyuszów o stanie Polski w rozmaitych czasach; Listy królów i panów polskich do Papieżów, i t. p. On sam jest miły i poważny staruszek, a raczej starzec, bo wysoki, baczysty i krzepki. A jakże on kocha Warszawę! Jak wszystkie jęj kąty pamięta! Jak widocznie młodnieje słuchając, i jakby mi rad nieba przychylić, kiedy mu opowiadam o niej, a zwłaszcza o uniwersytecie i o professorach, z których wielu znać że kocha serdecznie! Affekt więc ten rozciąga się i na nas. Sam ułożył nam cały program porządnego zwiedzania miasta i wszystkich osobliwości jego; sam nam *ciceronuje* gdzie może, a skoro mamy wieczór niezajęty, przychodzi dzielić go z nami w kawiarni, albo zaprasza do siebie. Dziwna to jednak, jak nasz duch gościnny przywiązuje i obowiązuje cudzoziemców, zwłaszcza gdy już kraj nasz opuszczają, i zapewne wspomnienia swe o nim porównywiają z tém, co ich otacza! Mamy tu tego przykład na nim i na Allanie. Obaj téż są zachwyceni Adamem, a i na mnie bardzo łaskawi. Allan uczy mię pronuncyacyi angielskiej jak szpaka, i bodaj że nie z większym pożytkiem. Ciampi zaś sam się obiecał dopomagać mi w nauce po włosku, to jest przeczytać ze mną po kilka wyjątków z wielkich poetów, aby mi przez to kiedyś czytanie dzieł ich ułatwić. Język bowiem w poezyi włoskiej różni się niezmiernie od prozy, a każdy z tych poetów ma jeszcze styl, tok i ton swój odmienny. Przeczytałem już z nim tym sposobem kilka sonetów Petrarki, i prawie całą pierwszą pieśń Dantowskiego *Piekła*. Widzisz więc z tego, że czasu nie tracę, a staram się korzystać—jak mogę.

Ale nie na tém koniec znajomości naszych. W parę dni po przyjeździe, byliśmy z winną attencją u Posła, którym tu jest Książę Gorczakow, młody i dziwnie piękny mężczyzna, w obejściu równie miły i grzeczny. Jest on kolegą szkolnym i przyjacielem Puszkina. O Adamie, jak mówił, wiedział wiele od niego i od innych. Przyjął nas jak nie można uprzejmiej, i sam z własnego natchnienia obiecał, jeśli zechcemy, dać nam poznać najpierwsze towarzystwa tutejsze. Rzecz jednak osobliwa, że i Książę, jak niegdys Góthe w Wejmarze, jak tylko mowa o *des jolies dames*, zaraz wyłącznie obracał się do mnie, jakby mi na łbie było napisane, że się tam nie innego nie mieści, albo jak żeby Adam był już tak lwem czy orłem, że na te gołębiątka i jagniątka nie baczy. Nie upokarza to mię przecież,—i owszem bardzo skwapliwie pośpieszyłem przyjąć z wdzięcznością łaskawą ofiarę Księcia—bojąc się aby jęj Adam nie odmówił—że nas zawiezie na bal do Księcia *Bacciochi*, który ma być w przyszłą Sobotę, i na którym ma się znajdować całe piękne towarzystwo Florenckie. Adam istotnie gdérze już mię za to, że będziemy musieli wydać kilka dukatów na najęcie karety, na kupienie nowych trzewików, rękawiczek, i t. d. Ale niech sobie! Kiedy nie żałujemy płacić za wstęp do galerii malowanych obrazów, toć przecież żywe są godniejsze widzenia. Wreście poczciwy Allan wziął téż moje stronę, i sam, dla kompanii naszej, ma pójść jutro umyślnie do swojego posła, aby także od niego bilet wejścia na bal ten otrzymać. Napiszę o nim, co i jak będzie. Tymczasem na zakończenie

tęj rubryki dodaje, żeśmy poznali także Księcia Ogińskiego (Michała), który tu od lat kilku osiadł na stałe mieszkanie, a którego żonę i trzy córki znalazłem w Wilnie, i byłem u nich razy kilka na wsi w Zalesiu, w niedalekiem sąsiedztwie od Dziewiętni. Sława Adama, i ta moja znajomość, zjednały nam tak uprzejme przyjęcie, że od pierwszej zaraz wizyty jesteśmy uważani nie jak obcy goście, ale jak przyjaciele domowi, i codziennie zapraszani na obiad albo na wieczór, z czego nawet tak często nie możemy i nie mamy czasu korzystać. Dawne nasze przysłowie mówi o polskich panach, że dobrze jest:

„Z Chreptowiczem żyć,
Z Radziwillem pić,
Z Ogińskim jadać,
Z Rzewuskim gadać.”

Ja wszakże nad wszelkie—smaczne w rzeczy samej obiady, wolałbym tysiąc razy słuchać tylko *gadania* Ogińskiego; tak wdzięcznie, i tak wiele ciekawych rzeczy opowiada. Ale cóż? Jak tylko przyjdziemy na dłużej, zaraz na stół wylażą te przeklęte szachy, przy których jak zasiądą z Adamem, wszelka rozmowa bierze naprzód *matą*; a potem te ustawiczne i jednostajne *szach*, *szach!* z każdej strony, co jak placka na muchy biją mię po uszach, tak jakiś magnetyczny wywierają wpływ na mnie: że jak w Bonn kiedyś przy sanskrycie Schlegela, jak wszędzie na operach *Vaccai*, tak i tu żadną miarą od snu się opędzić nie mogę, a potem tylko muszę się rumienić, gdy mię albo śmiech graczy ze mnie, albo własne chrapanie obudzi. To też wolę wieczorem, kiedy nie jesteśmy w teatrze, siedzieć w kawiarni z Allanem i Ciampim, albo fercać się po ulicach z jednym jeszcze nowym znajomym, p. Fortunatem Heryngiem z Warszawy, z którym nazajutrz zaraz po przyjeździe spotkałem się i poznałem na ulicy. I szczególne to było wrażenie, kiedy właśnie w tej samej chwili, gdy idąc sobie rozmyślałem, że już tu pewno nie ma żywej duszy, co by na mnie zwróciła uwagę:—słyszę tuż obok siebie wymówione moje nazwisko. Złakłem się, sam nie wiem dla czego;—i to był pierwszy początek znajomości z panem Heryngiem, który znał mię z widzenia w Warszawie, i tu pierwszy życzliwie powitał. Znajomość ta jest nam równie miłą i pożyteczną, jak p. Badowskiego w Wenecyi. Pan Heryng, jako dawniej przybyły, zna już tu wszystkie ścieżki i drogi, które albo wskazują, albo otwiera przed nami, a sam towarzysząc nam chętnie, mnóstwo drobnych kłopotów załatwia. A i to jeszcze do codziennych tu moich obowiązków zaliczam, aby choć na kwadransik wpaść do chorągwej pani Dernałowiczowej, dla której, zamkniętej w hotelu, jest to widzę jaką taką rozrywką, a więc i dla mnie bodźcem, aby tego nie zaniedbywać. Hiszpański zaś nasz towarzysz podróży, po dwudniowym leczeniu się na nogę, pojechał już do Livorno, aby ztamtąd do Francyi odpłynąć.

I oto są żywe stałe punkta, wśród których lub z którymi, kręcą się tu, jak w zegarku, kółka naszego codziennego żywota, zahaczając się i szlifując o tysiące martwych, wielkich i małych, najczęściej nawet kamiennych, o których też mniej więcej trzeba ci coś powiedzieć.

I Florenca ma ten sam tytuł czy przydomek jak Wenecya, to jest: *la bella*. Ale jeżeli Wenecyą równają do Wenery, rodzącej się z fal morskich; to Florencyą tém słuszniej należałoby porównać z Florą, że nie tylko siedzi wśród kwiatów, ale nazwisko nawet wzięta widać od nich. Przypatrzyliśmy się już jęj z bliska,

a najpierw z wysoka, to jest z przeslicznej wieży katedralnej (*Campanilla*), na którą nas p. Heryng, zaraz nazajutrz po spotkaniu się ze mną, wprowadził. Biedny Allan ledwo się wdrapał; ale trud był opłacony sownie.

Długa dolina, na której leży miasto, przepasana błękitną wstęgą rzeki Arno, z trzech stron zwłaszcza zamknięta jest blizkimi górami. Na wschód zielone pagórki bieleją malowniczo rozsianymi domkami. Jesieni tu jeszcze nie widać. Pola uprawne jak ogród. Wierchy tylko gór tu i ówdzie sterczą nago i szaro nad tępym morzem zieleni, rysując się na tle niebios błękitu, którego żadna chmurka nie ćmiła. Rzeka przedzieliła miasto na dwie nierówne części, połączone czterema mostami, z których zwłaszcza jeden, Ś. Trójcy, (*Ponte a Santa Trinità*), tak się zdaje zgrabny i lekki, jakby szczipak w podskoku przerzucił się przez rzekę. Inne zabudowane po bokach sklepami, jak ulice. Wzdłuż rzeki, po obu stronach, ciągną się wspaniałe nadbrzeża, zwane ogólnie *Lungo l'Arno*, albo *Lungarno*, z dodaniem nazw częściowych. Miasto, opasane dookoła murem i ogrodami, zabudowane jest ciasno; domy najczęścięj w kwadrat, sądząc z góry po czworogrannych otworach we środku, które im muszą służyć za dziedzińce. Dachy płaskie, kryte dachówką. Kościołów wyższych i większych naliczyłem tuzin; jest zaś ich wszystkich osiemdziesiąt kilka. Ludność przechodzi sto tysięcy. Wiem to z *Przewodnika podróży*, bo resztę wszystko, co tu mówię, własnym okiem *à vol d'oiseau* widziałem.

Onegdaj, jako w dzień Wszystkich Świętych, i wczoraj, jako w Dzień Zaduszny, całe ranki poświęciliśmy kościołom, a popołudnie ogrodom. Galerye były zamknięte. Ale tu każdy kościół to jak galerya i muzeum razem; (niekiedy nawet aż z ujmą godności i powagi świątyni); a ty wiesz, że migające obrazki i statuetki, więcej budzą moję ciekawość, i sto razy żywsze współczucie, niż wiekujące w ramach i na piedestałach.

Ze wszystkich dotąd kościołów Florenckich, największe na mnie wrażenie zrobił wczoraj kościół Ś. Krzyża (*Santa Croce*), i to wcale nie swoją architektoniczną pięknością, ani artystycznym bogactwem, ale wrażenie czysto duchowej, poetycznej natury. Jest to „Panteon Włoski”, jak go nazywają, przybytek prochów *nieśmiertelnych* ludzi, którzy tu, w sercu Italii, byli dla niej, rzec można, tą siłą, która obliczu jej piękności, myślom jasność, a samemu jej imieniu aureole chwały nadała. Na grobach więc takich nieboszczyków, jak Gallileusz, Michał-Anioł, Machiawel, Alfieri, i t. d. obchodziliśmy wczoraj formalnie *Dziady*, przyczém Adam odegrał rolę prawdziwie natchnionego *Gusłarza*. Przyszliśmy już po nabożeństwie i kościół był prawie pusty. A przyszliśmy wprost z przeslicznego kościoła *Santa Maria Novella*, który Michał-Anioł zwykł był nazywać „swoją kochanką” (*sua sposa*), tak był rozmiłowany w architekturze jego i skarbach wewnętrznych; a gdzie, oprócz admiringowania dzieł mistrza jego (*Ghirlandajo*), i wielu godnych jego poprzedników i współzawodników, byliśmy szczególnie wzruszeni precudowną muzyką i śpiewem żalobnym, który płynął z ust niewidomych śpiewaków, ukrytych w głębi chóru za zasłoną z kiru, bez przesady tobie powiadam, że zdawał się być głosem z tamtego świata, echem chóru błogosławionych duchów,—co mi już tam najpierw przypomniało *Dziady*. A jeśliż to na mojem uchu niedźwiedziem takie czyniło wrażenie, to cóż dopiero mówić o Adamie, na którym muzyka każda gra jak wiatr na arfie eolskiej. To też był po swojemu zamknięty w sobie i milczący, gdyśmy szli i wchodzili w progi *Santa Croce*. Kościół ten zawsze mroczny, poważny, posępny, zdawał

się być wspanialszym i posepniejszym niż kiedy, przy kirowych dokoła oponach i w blasku niepogaszonych jeszcze gromnic na ołtarzach i wkrąg katafalku. Głos gaszących je właśnie zakrystyańczyków przerywał tylko czasem uroczystą ciszę, zalegającą cały ten gmach, olbrzymi a pusty. Ciemność nie dozwalała oczom rozpatrywać się szczegółowo w pomnikach i rzeźbach; za to ogół wrażenia był większy. Przy grobie Gallileusza Allan zrobił jakąś uwagę o losie wielkich ludzi za życia, i o przeszkodach, jakie każdy nowy gieniusz i każda nowa prawda na tym świecie spotyka. Słowo to padło jak iskra na minę. Adam ze słupa *dymu*, stał się słupem *ognistym*.

„Wieczna walka człowieka z niebem o pierwszeństwo ziemi nad słońcem, (mówił), tak w świecie natury jak ducha, jest jedną z wielkich tajemnic Stworzenia i Odkupienia. W obu tych światach jest *słońce*— stworzone i objawione—źródło życia, światła i siły; nieruchomy środek wszystkiego. A przecież ile wieków minęło, ile walk staczać było potrzeba, nim Kopernik, a za nim Gallileusz, odkryli i przekonali, że ziemia nie jest panią, ale sługą słońca. Ale prawda ta w świecie widomym, raz odkryta i dowiedziona, jakkolwiek mogła oburzać i upokorzać współczesnych, że jej sami wprzód nie dostrzegli: dla następnych wszakże pokoleń jest już jasną i nieruchomą jak słońce. Tymczasem w świecie ducha, pomimo tylokrotnych dowodów i doświadczeń najmędrszych i najnotliwszych ludzi tylu wieków, słońce prawdy duchowej ulega ciągle jeszcze wątpieniu i roztrząsaniu każdego nowego pokolenia, które tę prawdę po swojemu przesądza, a zawsze chce ją uczynić *satellitą* ziemskiego rozumu. Pochodzi to nie skąd inąd, jak z różnicy oręża, którym człowiek w świecie natury i w świecie ducha wojuje. W pierwszym, orężem tym jest rozum; w drugim, uczucie. Rozum, chociaż się czuje upokorzonym przed gieniuszem, który mu po raz pierwszy nowe prawdy odkrywa lub dawny błąd jego ukazuje, widzi w nim wszakże tylko wyższy stopień własnej potęgi, i rad poprzestaje nakoniec na udziale w tryumfach, które gieniusz w imię jego odnosi. W świecie ducha przeciwnie. Rozum niezdolny sam przez się dojść i ogarnąć ostatecznej prawdy, tém mniej daje się powodować uczuciu, że ono samo nie inaczej, jak przez pokorę tylko, do uwierzenia tej prawdzie, a przez wiarę dopiero do przeświadczenia się o niej przyjąć może. Rozum więc woli przez pychę zaprzeczyć raczej z góry prawdzie, której nie zna, niżli dla jej poznania zacząć od wyrzeczenia się pychy, przyrodzonej siostry swojej po grzechu. Ztąd też to, nie z czego innego, wynika zawsze i to sprzeczniwstwo, jakie ludzie wielcy zazwyczaj we współczesnym społeczeństwie znajdują. Wyższość ich w duchu, razi pychę równych im w cieles; chyba że ich materyjalną potęgą do uznania tej wyższości przymusza. Ale i dla przyszłych nawet pokoleń stają się oni bożyszczem często nie przez co innego, jak przez to, że im służą za miarę do sądzenia i poniżania współżyjących, a obok tego, solidarnie niejako w każdym pychę ludzką podnoszą i lechcą. Wszystko zaś razem wzięte jest tylko dowodem: że w świecie ducha, *ziemia*—której siłą jest rozum, a grzechem jego pycha—przeważa dotąd nad *słońcem*—którego światłem, prawda, a ciepłem jest, miłość.”

Oto masz suchy ekstrakt z żywych słów Adama, którymi on przez kwadrans prawie, mnie jak zwykle— a zaś Allana tak widać niespodzianie po raz pierwszy zachwyił: że prawdziwie pocieszenie było go widzieć, jak z otwartymi usty i wielkimi oczyma wpatrywał

się w Adama i słuchał. Bo chociaż mu już przedtém mówiłem, kto był Adam; on jednak wierząc na słowo moje w znakomitość jego jako poety, nie spodziewał się pewnie znaleźć w nim takiego człowieka, jakim się przed nim w tej chwili, nie tylko w słowach swoich, ale nawet i w tonie głosu, i w wyrazie twarzy okazał. Było to bowiem jedno z tych improwizacyjnych natchnień, które czasem na niego przychodzą, ożywiając go wtedy nagle, jak wschód słońca posąg Memnona. Allan w tym razie przypomniał mi Dawida; na obu zaś wrażenie chwil takich działało coś naksztalt tego, jak zgłoska *von* w paszportach naszych, na owych dwóch kupczyków z Lipska, którzy płynęli z nami z Moguncyi do Koblentz, i wprost skutkiem tej partykuły, ton swobodny i poufały obejścia jednym razem z nami zmienili. W Allanie, jak w Dawidzie, widzę i czuję wyraźnie, że w miarę rosnącego wyobrażenia o Adamie, staje się z nim jakby żenowany; rychtyk jak każdy z nas w obec piękności, gdy mu się coraz bardziej podobać zaczyna. Ja zaś w obu tych razach używam niejako przywileju stariej ciotuni albo młodziej siostrzyczki: gdy affekt dla samój bogdanki, hamowany przed nią respektem, rozlewa się i na nie, jak woda wezbrana przed tamą, albo się o nie tém jawniej i śmieliej, jak kula dla rykoszetu, odbija.

„*Wszelki duch!... i nie wódz mię na pokuszenie!*”.... pomyslałem w tej chwili, i przeżegnałem się. Ale i to nie pomaga. Bo czyż to nie widoczna pokusa? Tylko co miałem w myśli same kiry i groby, i już się gotowałem zacząć opisywać pomniki: gdy oto jedno proste porównanie, co mi się samo nawinęło pod pióro—rychtyk szmer sukni jedwabnej w kościele, kiedy się człek modlił w najlepsze—tak nagle myśli moje w inną stronę zwróciło; tak żywo stanął mi w oczach wczorajszy spacer w ogrodzie *Boboli*; że albo muszę list przerwać, albo dać pokój nieboszczykom i grobom, a przenieść cię—jakby między szczęśliwe duszyczki, które w skutek modłów powszechnych dostawszy się wczoraj do raju, przebiegały zapewne po nim tak wesoło i raźnie, jak żywe a młode Florentki po tym istnie Edeńskim ogrodzie.

Zebranie było tak liczne i strojne, że oprócz ciepłej, przeslicznej pogody, nie zgrzeszę zda się posądzeniem, gdy powiem, że i chęć otrząśnięcia się z żalobnych porankowych wrażeń i kirów, nie miały w tém musiała mieć udział. Kręte ulice, pomiędzy zielonemi klombami, na tle zieleniejszych jeszcze i jakby axamitnych trawników, wyglądały jak różnobarwne, przesuwające się wstęgi lub tęcze; a zaś w strzyżonym, laurowym szpalerze, natłok był jak w sali balowej. Za dowód wrażliwości natury i wyobraźni włoskiej, mógłby też może posłużyć psychologowi widok pogody i wesołości na tych wszystkich twarzach, po których jednak dziś rano, przy rozpamiętywaniu o śmierci i o umarłych, niejedna łza pewno spłynęła. Ale co nas uderzało szczególnie, to, oprócz gustowności w strojach, jakąś pewna ogólna cecha koloru, wdzięku i przyzwoitości towarzyskiej. Co to za podobieństwo np. z owym gwarnym, jarmarczonym zebraniem na Lido, albo z tym jakimś amazońskim ruchem i szyrmem Bolonezek! Przypominało mi to raczej nasz miły ogród Saski, w dni świąteczne albo niedzielne, gdzie nieraz te same twarzączki, cośmy widzieli przez okna zgięte nad sztabnówkami trzewików lub sukien, noszą modne kapelusiki z taką gracyą i z taką godnością, jak pewnoby, w razie danym, choć mitrę nawet potrafiły nosić. O Warszawie ktoś trafnie powiedział, że jest to przedewszystkiemi miasto *pańskie*;—mnie zaś w tej chwili przychodzi concept— że obok znajomego powszechnie *dictum*:

„Szlachcic na zagrodzie,
Równy wojewodzie”,

możnaby niemniej słusznie powiedzieć w ogólności o polkach:

W płóciennęj spodniczce,
Podobna księżniczce.

Otóż ze wszystkich miast, jakie dotąd widziałem, Florencyja pod tym względem zdaje mi się być najpodobniejszą do Warszawy. W mężczyznach nawet, a zwłaszcza w żołnierzach, zastanawiały nas również inteligentny wyraz twarzy i oczu, a zgrabność i swoboda w ruchach. (Od wieków też tu obok lamp i wazonów, gliniane nawet dzbany i gąsiory Etruskie kształtnością formy słynęły). Nie darmo bowiem Florencyją zowią *Atenami Włoskimi*. Wiesz pewno, że w Toskanii tylko lud mówi czysto po włosku; we wszystkich zaś innych krajach Italii, ma wszędzie swój osobny dialekt, a raczej *żargon*, które wszystkie, z pomiędzy Włochów, sam jeden chyba Mezzofanti rozumie. W tutejszym ludowym teatrze *Cigli*, gdzie bilet parterowy kosztuje tylko 2 gracye, (6 groszy naszych), zamiast samych figlów Pajaca, lub płaskich conceptów Arlekina, jak gdzieindziej, dają sztuczki moralnej estetycznej treści, wzięte z życia i obyczajów ludu. Publiczność na parterze i w łóżach, (a jest ich 46), zachowuje się równie skromnie i przyzwoicie, jak i w większych tutejszych teatrach; chociaż wszędzie równie żywo i głośno przyjmuje i objawia wrażenia. Widowiska sceniczne, jak mi mówił Ciampi, stoją tu prawie na równi z codziennymi potrzebami życia, jak niegdyś w Rzymie: *panis et circenses*. (A i w tém rys podobieństwa z Warszawą). Teatrów jest tu bodaj siedem czy osiem; my byliśmy dotąd we czterech, licząc w to i ów *Cigli*. Teatr wielkiej opery i baletu, (*della Pergola*), wspaniały i bogaty co do budowy i ozdób, (5 piąter, w każdym po 22 łóże), nie zachwycił nas wcale ani operą, ani baletem, ani nawet *ballerinami*. Ale za tóż nie mam dość słów na uwielbienie doskonałości komedyi, w teatrze *del Cocomero*, a zwłaszcza doskonałości gry p. *Luigi Vestri*. Raz tylko widziałem starożytnego Wojciecha Bogusławskiego, na ostatniem pożegnaniem wystąpieniu jego w Warszawie, a odtąd jeden tylko Vestri, tak mi kazał zapomnieć o scenie, tak porwał i tak wcielił niejako w akcyę, że zda się byłem świadkiem rzeczywistego wypadku. I co dziwna, że ledwie przez piąte dziesiąte rozumiejąc co drudzy mówili; z gry, z twarzy i z giestów Vestrego nie tylko rozumiałem wszystko, co sam mówił, ale nawet przez niego myśl słów tamtych i treść całej sztuki pojąłem. Widziałem go już dwa razy, w komedyi Goldoniego „*Il sposo sagace*”, i w drugiej, „*Poeta Fatico*.” W obu razach pękałem od śmiechu. Adam, który zna teatr francuzki i włoski w Odessie, Petersburgu i Moskwie, a był także na teatrze w Berlinie, powiada również, że podobnego komika nie widział. Mówią, że jest też niemniej doskonałym tragikiem; ale tu przy nas jeszcze żadnej tragedyi nie grano. W teatrze nawet pod imieniem Alfieriego, (*teatro Alfieri*) trafiliśmy tylko na operę Mercadantego, „*Eufemio in Messina*”, która podobala się nam juźciż lepiej, niż te *sommiferyczne* kantaty i *recitativa* Vaccai, które i tutaj w *la Pergola* Morfeusza na mnie nawoływały. Sam teatr *Alfieri* nie wiele jest mniejszy od tamtego, (bo ma także pięć piąter dwudziesto-łóżowych); ale miejsce bogactwa i przepychu zastępuje tu tylko poetyczność ozdób. Na sklepieniu całe grono Muz; nad sceną Parnas Włoski. Na stopniach jego siedzą Dante i Petrarka; dalej stoją Ariost i Tasso. W pośrodku Italia, w postaci kobiety,

podnosi się z tronu na spotkanie Alfieriego, którego Sława w wieńcu ku nięj prowadzi. Pamięć tego poety, jak widać, jest tu w szczególniejszym uczczeniu. Oprócz nazwy teatru, dom, w którym mieszkał i umarł (w 1803), należy do osobliwości miasta, które każdy przewodnik cudzoziemcom wskazuje. A i pomnik jego w kościele *Santa-Croce*, jest, podług mnie, najpiękniejszy ze wszystkich — nie dziw, bo i najnowszy, i dłóta Kanowy. Ale sam nawet pomysł daje mu już pierwszeństwo. Nad grobem np. Michała-Anioła, wyobrażone są tylko trzy Sztuki, a raczej trzy boginie Sztuk Pięknych: Malarstwo, Rzeźbiarstwo, i Architektura; nad grobem Alfieriego, sama Italia płacze swego poety. Piękność jęj twarzy jest zachwycająca. Mówią, że nosi podobieństwo rysów hrabiny Albany, przyjaciółki Alfieriego, która koszt na ten pomnik łożyła; a dziś już sama, pod jednym z nim dachem, spoczywa w pobocznej kaplicy.

Ale wróciwszy do *Santa-Croce*:—Każdemu, kto myśli i czuje, mimowolnie nasuwa się pytanie, które Byron przez usta Childe-Harolda wyraża: „*But where repose the all three?...*”

„Ale gdzież leżą wszyscy trzej, synowie
Ziemi tej: Dante, Petrarca, Boccacio,
Co dotąd, w duchu i w natchnionem słowie,
Od wieków zmarli, żyją między bracia?
Czemu ich nawet proch się tu nie mieści,
Tu, gdzie już przez ich nieobecność samą
Wznawia się pamięć ich krzywd i boleści,
Będących wieczną ich ojczyzny plamą?....”

Za odpowiedź niejako na to pytanie, (naśladowane z myśli, nie ze słów Byrona), niech ci posłuży własny mój wiersz, stosujący się zwłaszcza do Danta, o którym już w poprzednim liście wspominałem, a który mam tu zaraz przepisać, powiedziawszy ci prozą: *bądź zdrow!*

PROROK.

W kim duch lotny, myśl wysoka,
Serce żądne świata chwał,
Cóż mu za dziw, że Proroka
Cześć i miano miećby chciał?

Lecz niech ujrzy — a ochlonie —
Jaki na to brać ma chrzest;
Czém u ludzi — nie po zgonie —
Lecz za życia Prorok jest.

Szał, ślepotą, czeze rachuby,
Pchną lud jego w grzech lub srom;
Prorok widzi otchłań zguby,
Groźb niebieskich słyszy grom.

Prorok woła, co mu każe
W sercu Prawda, w duszy Bóg:
Za odpowiedź grzmią potwarze —
Wszyscy bracia — on jest wróg!

W nim się serce żalem krwawi,
Wkoło śmiechu szynny ton.
Wszyscy mądrzy! wszyscy prawi!
Kłamca, zdrajca — jeden on!

Najlichszego gmin podnasza,
Gdy ma kamień rzucić nań.
Ból i los Jeremiasza,
To proroków wszystkich dań.

Lecz czyż zmilknie, i z bojaźni
Natchnień Pańskich słumi dar?
Czyż i w nim się nie rozdrażni
Człowieczego gniewu żar?...

Biada, biada Prorokowi,
Gdy błąd karząc, sam brnie w błąd!
Bóg litośny człowiekowi,
Lecz na niego inszy sąd.

Wziął najwyższe—wziął natchnienie,
I najwyższe musi dać,
Na co ludzkie przyrodzenie,
I ludzkiego ducha stać.

Prorok musi zrzec się siebie,
Chwałą, życiem wzgardzić tu.
Stos kamieni, co go grzebie,
To dopiero ołtarz mu.

Tam się naród w pierś uderzy,
Tam wdzięczności spłaci dług,
Gdy po skutku groźb uwierzy,
Że z Proroka mówił Bóg.

STANOWISKO PRAKTYCZNE DAWNYCH NIEWIAST.

PRZEZ

Wł. Chomętowskiego.

Pomimo rozlicznych poszukiwań na polu dziejów, dotąd przeszłość kobiety naszej jest prawie krainą nieznaną. Kronikarze, zajęci wyłącznie polityczną historią narodu, nie wiele podają szczegółów, któreby rzucały światło na praktyczne stanowisko niewiasty i jej wpływ moralny na społeczeństwo.

Jakkolwiek rola ta leży odłogiem, bogate znajdują się źródła w prawodawstwie i w literaturze, w pamiętnikach i dyaryuszach, nadewszystko w archiwach rodzinnych, do zbadania i przedstawienia stosunków domowych, a nawet do odtworzenia rysów kobiety w różnych epokach dziejów. Skreślenie dokładne i wszechstronne dziejów niewiast naszych, na tle życia rodzinnego i społecznego, nie jest w zakresie niniejszego pisma. Zamierzaliśmy tu podać kilka tylko rysów z przeszłości, które zestawiliśmy ze źródeł drukowanych i rękopiśmiennych, w celu przedstawienia stanowiska praktycznego dawnych niewiast, mianowicie w przestrzeni XVI, XVII i XVIII wieku. Zaznaczamy tu, że główna skarbnica pomienionych źródeł spoczywa dotąd w ukryciu, albowiem druki ulotne równie jak rękopisma, w znacznej części są jeszcze nieznanne. Są to wprawdzie surowe materiały, ale zebrane i zestawione krytycznie, wyprowadzają z cieniów przeszłości obrazy domowego pożycia, postacie dawnych matron i dziewczew w rzeczywistości światła.

Dzieje niewiast średniowiecznych i królowych, nie wchodzi w zakres niniejszego studium. Ograniczymy się więc nateraz ogólnym, nader treściwym poglądem na stanowisko niewiasty w najodleglejszej przeszłości.

Prawa krajowe nie wyłączały niewiasty od następstwa tronu, wszakże naród nie godził się chętnie w żadnej epoce dziejów z myślą niewieścich rządów. Tak samo więc u nas, jak w wielu innych krajach, w wyjątkowych tylko wypadkach wręczano berło władzy kobiecie. Wszakże królowe były otaczane czcią wielką, zasiadały na wiecach, wydawały przywileje i rządziły krajem jako opiekunki małoletnich synów.

Niewiasty nasze w najodleglejszej epoce posiadały ziemskie majątki, które do statutu Wislickiego, w braku synów brały po ojcu córki.

Ograniczenie prawa spadkobierczego niewiast uchylone zostało postanowieniem statutu Warteńskiego ro-

ku 1420, które unieważnia układy krewnych, czynione w celu splacenia nieletnich panien i zabierania ich ojczystego ziemskiego majątku. Czuwały prawa krajowe nad dolą i czcią kobiety. Każda wyrządzona obelga niewieście nie tylko czynem lecz słowem, surowo była karana. Kościół, stojąc na straży moralności, nie dozwalał na połączenie ślubne uprowadzonej potajemnie z domu rodziców dziewicy. Z drugiej strony, przestrzegano prawo, ażeby opiekunowie małoletnich dziewczew nie zmuszali do zawierania związków małżeńskich.

Wpływ niewiasty na rodzinę i społeczeństwo wzrastał z postępowaniem czasu i oświaty. Na początku XV wieku spotykamy się już z nazwiskami niewiast, które umiejętnie zarządzały znacznymi majątkami, stawały osobiście w sądach, i nie przez prokuratorów lecz same broniły nieraz swego prawa. Znajdujemy między innymi w aktach sądowych układy, na mocy których synowie lub krewni, w braku chęci lub zdolności do zarządzania majątkiem, oddawali takowy w dożywotnią dzierżawę matkom lub pokrewnym niewiastom, zastrzegając opłatę pewnego rocznego czynszu na swe utrzymanie.

Przekonywamy się ztąd, że niewiasty nasze w najodleglejszej epoce dziejów odznaczały się praktycznością. Zarówno w bogatych dworach magnatów, jak w skromnym wieśniaczym domku, widzimy je zawsze krzątające się gorliwie w sprawie domowego zarządu i gospodarstwa. Przymioty owe znajdowały też godne i wdzięczne uznanie, jakkolwiek nie brakło na wręcz przeciwnych uśłowaniach, w celu poniżenia godności i stanowiska kobiety.

Pisarze średniowieczni z szczególnem zamiłowaniem przywodzą słabą, ułomną stronę niewiast. W epoce rycerskości przeważały częstokroć materialne pojęcia, to też nawet rycersko-romansowe instytucje Zachodu, nie wywiodły kobiety z zakłętogo koła przesądów.

Wyobrażenia średniowieczne przechowywały się długo z krzywdą moralności. Świadczą o tem najwymowniej pisma satyryczne z XVI i XVII wieku, w których niewiasta jest nieraz celem najszaleszych pociśków. Wszakże obfitość pism tej treści nie dowodzi poniżenia, lecz przeciwnie podniesienia wpływu niewiasty. Satyra wpłynęła wraz z reformacyjnymi wyobrażeniami i rozkrzewiła się na naszym gruncie tak bujnie, że pisma satyryczne z XVI i XVII wieku stanowią jeden z najważniejszych działów literatury.

Nie potrzebujemy dowodzić, że satyra nie jest wiernym obrazem obyczajów. Przedstawia ona częstokroć ułomności i wady, które nie są wyłączną cechą danej miejscowości i epoki, ale wynikają raczej z wspólnego źródła natury ludzkiej. Nadto, pisma satyryczne są najczęściej wyrazem pewnych stronniczych dążeń i przesądów, stanowią więc ważny ale nader surowy materiał, który przejść winien przez probierczy ogień krytyki, mianowicie w zestawieniu z innymi, poważniejszymi źródłami.

Satyry nasze z XVI i XVII wieku pełne są spostrzeżeń o skłonności do zabaw i strojów, o rozrzutności i zalotności zameżnych niewiast, równie jak panienki. Czytamy tam między innymi o panienkach, co nie rade siedzą w domu jak na szydłach, co je pięty świerzbią, kiedy nie obieżą ulic, rynku i kościołów, co na matkę lamentują, że ich i tam i sam nie wiezie, co owo ustawicznie szyję wyciągają z okna, jak zieba z klatki i t. d. W innym znów miejscu napotykamy satyrę na figle dziewcząt, które z mężczyzną zbierają ciągle wzorki, udają jak który chodzi, patrzy i mówi, jak opasuje się i szablę nosi. Częstokroć w tych saty-

rach autor mija się z założeniem, albowiem chcąc przedstawić ujemną stronę pańien, oddaje mimowolnie hold ich dowcipowi, jak np. w wierszach:

Choć ony jako głuszki cicho sobie siedzą,
Jeszcze ty nie pomyślisz, a już ony wiedzą;
Jedna na drugą mrugnie, wnet się zrozumieją,
Gdy prostaka dostaną, to się z niego śmieją.
Nie nowinać, iż się więcej domyślają,
Bo dowcip przyrodzony, bardzo ostry mają.

Atoli najostrzejsze pociski satyry wymierzano przeciwko mężatkom. Znany dzieła, których wyłącznym jest zadaniem potępienie małżeńskiego stanu. Zawziętość, z jaką występowali nieprzyjaciele niewiast, jest właśnie jednym z dowodów niepospolitego ich wpływu. Autorowie pism rzeczonych zanadto pióra maczali w zółci, ażeby sami wierzyli w rzeczywistość i bezstronność kreślonych przez się obrazów. Rysują oni wyłącznie, karykaturalne portrety niewiast pochopnych do najszałeńszej zalotności, hardych i swarliwych, dogadzających wszelkim podszeptom próżności i dumy, niebaczących na los rodziny i dziątek.

W literaturze naszej odznaczają się wzmiankowaną dążnością dwa mianowicie dzieła. Jedno pod napisem: *Żona wywiedziona dla młodzieńców tych, którzy wiek swój jakoby wiosnę w zimę obracając, letnich i jesiennych szukają pożytków i wczasów. Wprzód od Jegomości Abrahama Prowany, kawalera Maltańskiego, a teraz powtórę przez Jana Karola Duchnowskiego N. B. światu ukazana.* Drugiem jest: *Odpowiedź na złote jarzmo małżeńskie.* Jak jedno tak drugie dzieło jest najszałeńszym pamfletem przeciwko płci niewieściej i małżeństwu.

W dziele: „Żona wywiedziona” przebiega autor rozmaite przymioty i usposobienia niewiast, zatem usiłuje dowieść, że mężczyzna nabywa zawsze z ręką kobiety niezliczoną moc trosk i przykrości. Przytoczymy niektóre z tych pseudo-filozoficznych wywodów:

„Jeżeli piękna, to w niej Boga nie masz, pragnąc, żeby ją miał za jedną boginię. Jesliż szpetna, to ty, choćbyś nie rad, musisz od niej stronić; jesliż piękna, ledwie nie wszyscy ludzie ją miłują. Jesli piękna, siła będzie, co jej zajądzą (pozazdroszczą); jesli szpetna, siła ich będzie cię żałować. Jesli gładka to i pyszna, bo to za tem idzie jak cień za ciałem. Jesli szpetna a ma rozum w głowie i zwierciadło na ścianie, łatwiej zrozumie, że ty musisz pomyśleć na stronę. Jesli gładka, Boże przykazanie poamięć; jesli szpetna, trudno owo drugie wypełnić: opuści ojca i matkę, a przystanie do żony. Jesli gładka, co żywo jak do celu po oku zmierzając będzie, tak wróble do sowki: dziw, dziw, dziw i t. d.” Podobne znajdujemy przystosowania do innych przymiotów żon, mianowicie: jesli są wysokiego lub niskiego rodu, bogate lub ubogie, enotliwe lub przewrotne. Autor nie wierzy w szczęście i spokój małżeńskiego stadła, zatem dotyka ostrzem satyry najenotliwsze żony; zwracając się zaś do złych powiada: „Zechcesz-li jej dać łańcuch na szyję lub kajdany na nogi, bądź kaptur na oczy, przecie uważaj pilnie, jako chodzi, co i jako czyni, co jej za zabawka, czy listów nie pisze, czy okiem na kogo nie rzuci, czy postów i podarków od kogo nie miewa? i t. d. Jesli jej poruczysz dom wszystek do rządu, to zechce z ciebie mieć sługę. Jesli sobie część jaką zostawisz domowego rządu, aż ona krzyczy, iż jej nie wierzysz, chociaż czasem nie masz komu. Uczynisz ją panią we wszystkim, to już panie mężu nie wdawaj się w żadną sprawę, ani w żadną rzecz domową; przyjaciela w dom nie proś, z domu nie chodź bez jej woli, nie dawaj nikomu nic

z domu bez jej wiadomości” i t. d. Ustęp ten określający najwydatniej działalność niewiast polskich w sprawach domowego zarządu, kończy autor cierpką uwagą: „O takich rządzichach nigdzie pod słońcem nie słyhać, jedno snać w jednej części Europy u Polaków, że i po śmierci czynią ich paniami we wszystkim”. Tu powstaje najmocniej na prawa dożywotnie wdów, które wyszedłszy powtórnie za męża, trwonią częstokroć majątek z krzywdą dzieci pierwszego małżeństwa. W dalszym ciągu z równem uprzedzeniem odzywa się o niewierności żon: „Umie-li żona czytać, pisać, to listki, to świstki; bez przestanku to posłowie, to baby, to zwodnice jedna za drugą. A nie umie, także źle jakoby umiała. Najdzie pisarza, co jej napisze i sekretarza, co przeczyta pięknie, z domu cię wyprawisz. Umie czytać, a rada siła czyta, to wtenczas zbiera jad jak pajak, a sieci na cię jak na muchę dzieje” i t. d.

Sądzymy, że przytoczone ustępy dostatecznie zaznają z treścią dzieła, którego jedynym niemoralnym zadaniem jest ohydzenie małżeństwa. Nie jest to utwór oryginalny; są to przeróbki lub naśladowania zagranicznych wzorów. To samo powiedziecby można o *Odpowiedzi na złote jarzmo małżeńskie* i o innych tym podobnych utworach.

W zestawieniu tych pseudo-moralnych pism z innymi poważniejszemi treściami dziełami, wyswieca się jednych i drugich prawdziwe znaczenie w literaturze. Kwestya wychowania i stanowiska kobiet, żywotną była od najdawniejszych czasów w każdym społeczeństwie, mianowicie w chwilach rozbudzonego więcej życia umysłowego. Widzimy poruszoną tę kwestyę w naszym piśmiennictwie, w epoce najbystrzejszego rozwoju, w XVI wieku. Już w roku 1535 Głaber z Kobyłina, w przedmowie czyli raczej w dedykacji dzieła o zachowaniu zdrowia ludzkiego Jadwidze z Kościelca, wyznaje, że napisał to dzieło w języku polskim, dla użytku niewiast; przyczem ubolewa nad tem, że „mężowie naśladowując swych przodków, strzegą, aby białe-głowy pisma się nie uczyły i ksiąg żadnych rozumnych nie czytały. Czynią zaś tak, utrzymuje dalej autor, w obawie, ażeby kobiety udarowane z przyrodzenia bystrzejszem pojęciem, nie przewyższały ich rozumem. Późniejszy pisarz, Łukasz Górnicki, w dziele: *Dworzanin Polski*, rozwodził się obszernie nad wychowaniem i oświatą niewiast. Zaznacza on w rozdziale wstępnym, że wzięwszy za wzór włoskiego pisarza Balcera Castiglione, stosował się do naszych obyczajów. „Opuściłem, mówi, siła rzeczy, które albo się tu nie należały, albo rzecz zatrudnić a pocziwe uszy obrazić mogły”. Owóż wychodząc z tej zasady, przerobił nasz autor znacznie traktat o miłości, wyrzucając przedewszystkiem ustępy, któreby mogły stać się przyczyną zgorzienia. Przyznaje atoli, że dość powiedział o rozmaitych fortelach białogłowskich, w przekonaniu, że odkrycie stanie się przestrożą dla mężczyzn, nie uczyni zaś przebieglejszemi naszych polek, które chociaż nie tak są uczone jak włoski, niemniej jednak są doświadczonemi w sztuce kochania.

Owóż w trzecim rozdziale Dworzaniina, jak dziś, tak przed trzema wiekami widzimy zawiązaną gorącą dysputę, w przedmiocie wychowania i oświaty niewiast. Stają tu w obronie płci pięknej uosobieni jej wielbiciel w panu Kostce i Myszkowskim. Występują z drugiej strony przeciwnicy, którzy głosują za najściślejszym ograniczeniem praw i swobody niewiast. Są to przedstawiciele zastarzałych średniowiecznych a raczej pogańskich pojęć i przesądów, według których uważa-

no kobietę jako istotę upośledzoną pod wszelkiemi względami, zatem niezgodną do korzystania z owoców cywilizacji, które miały być wyłączną spuścizną mężczyzn. Musimy tu zaznaczyć, że w połowie XVI wieku, nawet w łonie sejmujących stanów podnoszono kwestyę ograniczenia wpływu i znaczenia niewiast. Było to na sejmie Warszawskim 1563 r. Roztrząsano i rozsądzano prawa do starostw, które trzymano w zastawie. Na mocy uchwały zeszłego sejmku, ci tylko mieli ostać się w ich posiadaniu, którzy okazą przywileje dawne, przed statutem króla Aleksandra wydane. Wszelkie świeżo zapisane summy miały być skupione, wtedy zaś dobra powracały do królewskiego stołu. W skutku rzeczonych uchwał, jedni dobrowolnie wyrzekali się królewszczyzn, inni bronili swego dożywotniego prawa. Zdarzało się już w XVI wieku, że posiadacze królewszczyzn, na mocy pewnych układów familijnych, ustępowali prawa użytkowania czyli dożywocia niewiastom. Tak Elżbieta Ligęzowa, kasztelanowa Czechowska, córka Spytka Jordana z Melsztyna miała dożywocie na Bieczu. Uznano po rozpatrzeniu przywileju, że jest prawomocny, jako wydany nasummę wypożyczoną na potrzeby wojny pruskiej. Atoli dożywocie zostało zakwestyonowane z dwóch przyczyn: najprzód, że zapisana summa miała być spłacona w oznaczonym terminie; powtóre, dowodzono, że niewiasta nie powinna trzymać sądowego starostwa, na mocy uchwały stanowiącej, że starosta ma być sam przez się zdolnym do sprawowania urzędu. Protestował w obronie praw córki Spytek Jordan i wywodził, że niewiasty były nieraz i oddawna dożywcami starostw sądowych, zatem przywoził na przykład panią Grabowiecką Starością Wieluńską.

Król wydał wyrok przychylny, zgodnie z wnioskiem i prośbą Jordana. Atoli, Mikołaj Siennicki, marszałek, protestował znów w imieniu izby poselskiej. Dowodził on, że syn tylko po ojcu osiąść może starostwo sądowe, zatem ma być godzien tego urzędu zdolnością i zasługą. Przemawiał następnie Rafał Leszczyński i wywodził, że: *Jejmość pani Czechowska jako białogłowa nie jest persona abilis* na starostwo sądowe. Podjął tę myśl znów Siennicki i wykladał obowiązki starosty, zwracając przytem uwagę na to, że żaden zastępca nie może sprawować z pożytkiem publicznego dobra starościńskiego urzędu i t. d.

Wyznać należy, że w tym razie mieli protestujący zupełną słusność i że przywilej naruszał prawo.

Niewiasty otrzymywały bardzo często dożywocia na starostwach po śmierci mężów na mocy przywileju zwanego: *jus communicativum*. Wyłączone były z tegoż zamki i fortece pograniczne, wszakże nietrzymano się ściśle przepisów prawa. Czytamy w konstytucjach 1662 roku, jako nie będą udzielane na przyszłość przywileje białogłowom na dożywocia w starostwach pogranicznych, na zamki i fortece; nadto, że żadna nie będzie mogła napotem trzymać nad dwie królewszczyzny po śmierci męża, wyjąwszy już posiadanych.

Protestowano w różnych czasach, lecz napróżno, przeciwko majątkowym przywilejom niewiast. Przypomnimy tu odznaczający się bystrością poglądu znakomitego autora pamiętnika: „Skrupuł bez skrupułu” rozdział: *jura communicativa wdów*, w którym wykazuje, jak liczne rodziny, niegdyś najpotężniejsze w kraju, wyzwały się ze znaczenia i majątków, które przez powtórne związki małżeńskie wdów w obce przeszły ręce.

Pomimo licznych protestacji, niewiasty nasze utrzymywały się przy swych przywilejach. Niektóre dowiodły rzadkiej praktyczności w zarządzie ogromnemi majątkami, i pamiętne działalności tej zostawiły ślady.

Wykażemy to wkrótce na właściwem miejscu. Tymczasem zwrócimy się jeszcze do dzieła Łukasza Górnickiego:

W ustępie Dworzanina o kobietach spotykamy się z pojęciami, które są ogólnie ludzkie, właściwe wszystkim wiekom. W każdej epoce dziejów uznawano pewną moralną wyższość kobiet; widziano w nich ideał cnoty i piękna, słowem, najdzielniejszą pobudkę do wszystkiego, co znaczne i wielkie. Wyrażone tu pojęcia nie były czczemi słowami. Dowodem jest stanowisko, które niewiasta nasza zajmowała w rodzinie i społeczeństwie. Owóż obrońca płci pięknej w Dworzaninie, pan Kostka, podnosząc jej przymioty, wyznaje, że dla jednej białogłowy nieodmienną a surową statecznością, był raz bliźniuchno śmierci. Drugi (Myszkowski) dowodzi, że potrzebne są niewiasty nie tylko ku naszej na świat bytności, ale też i ku dobremu i zbożnemu życiu. Następnie rozwodząc się nad zaletami i wpływem niewiast, mówi tenże: „Gdzieby który król mógł wojsko sobie z takich ludzi sposobić, którzy miłując, przy bytności białych-głów słych bićby się mieli, chyba nie masz, aby nie miał wszystkiego świata nim zwalczyć. Ktoby się muzyki, ktoby tańca uczył, ktoby wiersz albo rym pisał, by nie dla tego, iżby afekt swój, który za łaską albo niełaską białej-głowy urosicie, nim wyrzył?”

Najciekawszy jest ustęp, w którym zawiązuje się rozprawa w przedmiocie wychowania i oświaty kobiet. Znajdujemy tu między innymi wzmiankę, że niektóre z pań naszych XVI wieku nie gorzej niż mężczyźni harcowały na koniu, z mieczem i oszczepem w rękę, nie mówiąc o zamilowanych w myśliwskim rzemiośle, których u nas było pełno. Pan Kostka nie pochwała tych męskich ćwiczeń; nawet w tańcu, który uważa za najwłaściwszą płci pięknej zabawę, doradza zachować pewne umiarkowanie, to jest, ażeby niewiasta żartkiem skokiem i zbytnią ochotą nie kaziła przyrodzonego wdzięku, który wykazywać powinna w skromnem, pieczonem obejściu. „Niech białogłowa, mówi on, będzie ludzką i przyjemną w rozmowie, niech umie uczciwie a z wdzięcznością, podług czasu i miejsca zabawić każdego tego, kto się z nią w rzecz wda kiedy, uważając osobę każdego i wiedząc z kim mówi”. Na innym znów miejscu czytamy, iż: „dwornę pani ku przyrodzonemu baczeniu nabytego z ksiąg rozumu potrzeba, a przeto ma czytać, ma jaką muzykę, przystojną jej płci, umieć dla uczciwej zabawy”. Dalej, odpieiera tenże obrońca zarzut, jakoby niewiasty nie były zdolne do czerpania wyższych nauk: „Jeżeli też waszmość do rozumu przyjdiesz, ja tak powiadam, iż białogłowa wszystko to może unieść, co mężczyzna; nie jest jej dowcip kęs jeden naszego podłęjszy, i owszem, tak nas uczy filozofia, iż kto ciała subtelniejszego, ten i rozumu bystrzejszego być musi. A to, gdy się w białogłowach najduje, nie lza, (nie można) jedno tak rozumieć o nich, iż one są sposobniejsze ku pojęciu nauk subtelnych niż mężczyzna”. Tu powołuje się na przykłady dawnych i obecnych czasów, jako znajdują się zawsze niewiasty biegłe w różnych umiejętnościach. Następnie protestuje tenże przeciwko zbytniemu ograniczeniu wolności kobiet, w skutku niesłusznie rozciągniętej nad niemi władzy mężczyzn, poczem mówi: nie ukazesz mężczyzny jednego z osobnemi przymiotami, abym ja wnet żony, dziewczki, siostry, albo powinowatej jakiej jego jemu równiej, albo jeszcze osobniejszej niż on nie ukazał.

Jak widzimy z przytoczonych ustępów, zadaniem było autora w szermierce zdań przeciwnych nie tylko

podnieść przymioty kobiet, ale nawet wykazać ich wyższość moralną w pewnej mierze, w rodzinie i społeczeństwie. Nic nowego pod słońcem: spotykamy się dziś często z temi samemi zdaniami, które wygłaszane były przed laty trzystu w kwestyi emancypacji kobiet. W istocie, rozpatrzmy się głębiej w stosunkach domowego życia przodków, a przekonamy się, że kobieta dawnych czasów, celująca rozumem i wykształceniem, wcale nieposlednią odgrywała rolę. Rozumie się, że rozszerzał się krąg jęj działalności, w miarę zajmowanego stanowiska przez urodzenie i majątek. Wynikało to z ustroju owoczesnych stosunków społecznych.

Najprzód, dla uzupełnienia obrazu, musimy powiedzieć słów kilka o wychowaniu:

Dwie tylko w powołaniu dawnych kobiet były drogi: stan małżeński lub zakonny. Czynna jęj rola rozpoczynała się dopiero z dniem zamęścia; o emancypacji panien w dzisiejszem znaczeniu, nie było mowy w XVI ani w XVII wieku. Wychowanie dziewcząt było skromne, surowe w pewnej mierze, ale przede wszystkim praktyczne. Uczyły się najprzód zasad religii i moralności, następnie rozmaitych przedmiotów domowego zarządu i gospodarstwa. Córka pierwszego senatora równie jak uboższego szlachcica, umiała przygotować rozmaite wódki, mianowicie używane za lekarstwo i dla zapachu, smażyła owoce, robiła konfekt, soki i t. p. W niższym szlacheckim stanie, w długie zimowe wieczory, zajmowały się dziewczęta wraz z matką przedzeniem kądzieli, w majątniejszych domach trudniły się haftami i innemi ręcznemi robotami. Zakres nauki dziewcząt był różny, stosownie do zamocności i stanowiska rodziny. W uboższych szlacheckich domach ograniczała się edukacya na nauce czytania, pisania, religii i rachunków. Córki panów uczyły się języków: włoskiego w XVI wieku, zaś francuzkiego, niekiedy i niemieckiego w XVII. Znajomość języka łacińskiego pomiędzy pięcią piękną była wyjątkową. Wspomniany wyżej Glaber z Kobylina, zarzucając mężczyznom, że strzegą, aby białogłowy pisma się nie uczyły i ksiąg żadnych rozumnych nie czytały, myślał niezawodnie o czytaniu ksiąg w języku łacińskim, albowiem w chwili, w której to pisał (1535 r.), nader był szczupły zasób dzieł drukowanych w języku polskim. Względ zwłaszcza na okoliczność, że uwaga autora odnosi się do przeszłości, popiera to nasze twierdzenie.

Zauważyliśmy, że wychowanie dawne było poniekąd surowe. Bezwątpienia, w wielu domach zarówno ubogiej szlachty jakoteż magnatów, matki wychowywały córki w wielkim rygorze. Zasada była ogólnie przyjęta, że matka ma obowiązek strzeżenia córki jak oka w głowie; nie zezwalało tęż naswobodną rozmowę panien z kawalerami, którzy nie skarbiwszy wprzód przychylności rodziców, nie mogli czyli raczej nie powinni byli czynić żadnych zachodów o pozyskanie względów panny. To tęż opowiada Bartosz Paprocki, (próba cnót), że kiedy gach podobał się pannie córce, a bynajmniej panu ojcu, wtedy tenże czynił jęj przedstawienia, a skoro te nie pomogły, brał w pomoc surowiec wołowy. Karcili rodzice srodze zaloty i pokątne schadzki, zatem uważając niepoprawne obyczaje córki, starali się o wydanie jęj za mąż w jak najprędszym czasie. Nie zawsze zbyt surowe postępowanie rodziców požądane wywierało skutki. Ścieśnienie wolności wyboru wywoływało niekiedy gwałtowne postanowienia ze strony zakochanych. Niemało zawsze było lisów, jak mówi ksiądz Mijakowski (kazanie przy rozdawaniu kolędy), cychających na niewinność pa-

nieńską; ani żadna z panien nie wolna była od rarów, co bujają po kamienicach, po ulicach, po ogrodach, poglądając, jakaby złość wyrządzić. Owóz w XVI wieku, w epoce rozbudzonego ruchu umysłowego, ale zarazem rozprzężenia w obyczajach, napotykały już bardzo częste wzmianki uprowadzania panien z domu rodziców. Mianowicie pod koniec panowania króla Zygmunta-Augusta, jak świadczy Dyaryusz sejmu z 1565 r., mnóstwo nadużyć tego rodzaju zapisano w aktach sądowych: Powtarza się toż samo, chociaż na mniejszą skalę i w XVII wieku.

Osierocona dziewczica pozostawała pod władzą i opieką brata lub najbliższych krewnych. Opiekunowie posażnej panny kierowali nieraz w widokach własnych wyborem jęj męża. Nie zawsze uległemi ich woli okazywały się wychowawice. Zdarzały się więc wypadki, że wyłamywały się gwałtem panny z narzuconej im opieki. Napotykały między innymi szczególną dość sprawę, rozszadzaną w Trybunale Lubelskim. Kawaler najechał w nocy dom opiekuna panny, podczas jego nieobecności. Porwał nieopierającą się jego woli pannę i uwiózł ją konno. Brat i opiekun mszcząc się wyrządzonej mu krzywdy, najechał nawzajem dom uwodziciela. Zawiązała się żwawa utarczka, w której kawaler poniósł ranę. Brat panny zawiózł ją wraz z rannym do Lublina, i wytoczył sprawę przed Trybunał. Wdali się atoli krewni i przyjaciele i pojednali zwaśnionych. Spisano akt zgody, a na zakończenie, ranny i złożony jeszcze niemocą, wziął ślub z panną we własnem mieszkaniu.

W zwyczajnej kolei spraw miłosnych, wysyłano swatów do domu rodziców panny, z prośbą o jęj rękę. Nie sądźmy atoli, ażeby wyłącznie wola rodziców stanowiła o wyborze męża w umyśle córek. Owszem wymagano przedewszystkiem, ażeby kawaler zasłużył sobie na przyjaźń bohdanki. Przychylni konkurentowi rodzice nie czynili w tęż mierze żadnej przeszkody. Zalotnicy śpiewali serenady pod oknami dziewic, posyłałi marcepany i wieńce przy miłosnych listach lub wierszach. W pamiętnikach i archiwach familijnych niemało napotykałyśmy szczegółów i wierszy romansowych. Wylizanie rzeczonych dokumentów nie jest w zakresie niniejszego studyum. Wymienimy tu tylko ustęp z poematu z r. 1658 Aleksandra Polanowskiego Rotmistrza. Są to treny miłosne, ułożone dla pewnej zakochanej damy. Oto są początkowe strofy:

Już nie ten ogród, już i nie te ścieżki,
 Płacz tylko z żalem chodzi po nim ciężki;
 Strapiona dama błędne oczy kryje,
 Przeklinając się, że tak długo żyje.
 Pisce lamenty na suchej drzewinie:
 Bogdaj się były głębokie jaskinie
 Na pustych lasach nademną zawarły,
 Prędzejby z oczów moich lzy się starły,
 Niźli te deptać ścieżki i ulice,
 Po których przedtem drogie obietnice,
 We dnie i w nocy słały się nadzieje,
 Że się ta miłość nigdy nie zachwieje.
 Nie miał być taki, aby z jego rady,
 W szczerem kochaniu przysnęły się zwady.
 Dyament w nocy tę miłość rysował,
 Aby jęj kiedy błędny świat nie psował,
 Aż z malęj chmurki, zaraźliwa burza
 Wiarę i szczerłość w niepamięci nurza;
 Serce w opokę skalistą obraca,
 Blizny zadaje i dni moje skraca.
 Ale nie toby tylko pisać trzeba,
 Niechże nas sędzi, czyj jest wyrok z nieba,

Abym w tych żalach dni żalodne wiodła,
Żem się na takim kochaniu zawiodła,
Z którym umieram, a jeśli kto błądzi,
Niechaj wiek przyszyły obie strony sądzi.

Zakończają się żale zawiedzionej damy wierszami, które nie błyszczą wprawdzie formą, ale są wyrazem niekłamanej uczucia:

Ustąpię placu uciecze twojej,
Trumnę na zamian łożnice biore,
Statek, życzliwość w jędyną sfore,
Ten zbiór fortuny mojej przy sobie
Zachowam i z nim polegę w grobie!

Nie jest tu naszym zadaniem kusić się o uwydatnienie scen i obrazów z przeszłości, w których malują się dzieje młodzińczego serca. Dawni ludzie kochali niemniej niż dzisiaj, ztąd też niemało było przykładów gwałtownej, namiętnej miłości. Wyrażała się ona wprawdzie pochopniej w czynach niż w słowach, więc nie rozpisywano się o niej w szerokich romansowych traktatach. Musimy tu zaznaczyć, że opinia publiczna stała zawsze na straży cnót domowych i karciała wszelką swawolę i pogwałcenie czci należnej dziewicom, lub związków małżeńskich. Urowadzenie panny z domu rodziców wywoływało zwykle oburzenie i pomstę całego rodu. Szczęśliwie wyszedł kawaler, jeżeli uniknął srogięj kary i pogodził się z krewnymi, stając u stopni ołtarza z bohdanką na zakończenie dramatu. Długo przechowywano pamięć jego czynu, zapisując imię i nazwisko z uwagą, że ożenił się wcale nie *honorifice*.
(D. c. n.)

LISTY Z PETERSBURGA.

I.

Założenie Petersburga. Środki załudnienia. Stan powietrza. Ciepłomierze przy kapeluszach. Burza. Cholera. Brak robotników.

Zamierzając podać w mych listach, krótką wiadomość o wszystkim co zasługuje w Petersburgu na powszechną uwagę, zaczynam od pierwszego istnienia tej stolicy.

Piotr Wielki, po odniesionym nad Szwedami zwycięstwie, opanował w roku 1703, całą przestrzeń Newy, która, przy ujściu do zatoki Fińskiej, tworzy wspólnie z pobocznymi rzekami, kilka położonych na niskiej równinie wysp. Błota, bagna i trzęsawiska, pokrywały wówczas nędzne te wyspy, zamieszkałe przez garstkę rybaków Fińskich; wyspy te, według zdania naturalistów, musiały stanowić niegdyś łożysko morza. Na jednej z nich zwanej wyspą *Zajęczą* (Jenissari), Piotr I w tymże roku, założył fortecę; na wyspie zaś *Brzozowej* (Koiwissari) pobudował dla siebie domek, który stał się początkiem nowej stolicy, nazwanej, na cześć św. Piotra, Sankt-Petersburgem. Domek ten, obrócony potem na kaplicę, do dziś dnia zachowuje się nad brzegiem Newy, wraz z meblami i różnemi sprzętami własnoręcznej Piotra I roboty.

Wszystkim wiadomo, że założenie Petersburga nastąpiło w widokach strategicznych, bez najmniejszego względu na potrzeby klimatyczne; dla tego to i budowanie tego miasta odbywało się z rozporządzenia rządu, nie zaś z dobrej woli mieszkańców. Siłę roboczą stanowili: przysyłani z całego kraju rzemieślnicy i włóscianie, w liczbie 20,000 osób corocznie, uwięzieni szwe-

dzi i winowajcy różnego rodzaju. Nie przyzwyczajeni jednak do tutejszego klimatu, który, przy rozpoczętych zaledwie robotach, około osuszenia błotnistej gruntu, nierównie szkodliwszym był wtedy niż dzisiaj—ludzie ci wpadali w niemoc i ciężkie choroby. Okropna śmiertelność, jaka między nimi panowała, zmuszała wielu do rozpaczliwej ucieczki. Przy takich warunkach, całą prawie ludność Petersburga; stanowił czasowo zamieszkujący lud roboczy, stałych zaś mieszkańców był brak zupełny. Zaradzając temu Piotr I, wydał w roku 1712 ukaz o wysyłaniu ze wszystkich miast kraju, na stałe mieszkanie do Petersburga, młodzieży niezajętej naukami lub urzędowaniem, pochodzenia szlacheckiego, synów żołnierzy, oraz całych rodzin niektórych bogatszych kupców i rzemieślników. Lecz i tą razą skutki nie odpowiedziały nadziejom. Przymusowi mieszkańcy nowej stolicy, uciekali przy pierwszej sposobności, wyrzekając się nawet zbudowanych przez siebie domów. Piotr I udał się wtedy do nowych środków. W Petersburgu rozkazał budować się zamieszniejszej szlachcie, kupcom i osobom stanu duchownego.

Śmierć Piotra Wielkiego, w r. 1725, wstrzymała skuteczenie wszystkich jego planów. Powrót petersburskich mieszkańców, do stron rodzinnych stał się rzeczą zwyczajną, nieukończono budowle przychodziły do upadku. Na domiar niepowodzeń, wybuchły w roku 1736, ogromne pożary, zniszczyły znaczną część miasta, i chociaż podpalacze śmiercią ukarani zostali, w roku jednak następnym pożary się odnowiły. Stolica była obrazem prawdziwej ruiny.

Porzucono nakoniec środki przymusowe. Cesarzowa: Anna, Elżbieta, a szczególnie Katarzyna II, ściągały mieszkańców do Petersburga drogą zachęty. Różne przywileje, a w niektórych razach i zapomogi pieniężne, o tyle przyczyniły się do wzrostu stolicy, że w roku 1782 liczyła już ona 4,600 domów, z 190,000 mieszkańców.

W następnym liście, przystąpię do skreślenia obecnego stanu Petersburga, na zakończenie zaś dzisiejszej pogadanki, podam kilka wiadomości z życia bieżącego.

Wiosnę mieliśmy dżdżystą i tak chłodną, że zaledwie przy końcu Maja drzewa w zieloność się przybrały. Od połowy Czerwca do Lipca trwały wielkie upały. Teraz mamy pogodę dość ciepłą ale dżdżystą. Lubiący często dowiadywać się o stanie powietrza, skorzystali z ostatniej mody, bardzo oryginalnej, noszenia przy kapeluszach maleńkich ciepłomierzy, w kształcie kokardy. Dnia 19 Czerwca (1 Lipca) w okolicach Petersburga była tak wielka burza, że w Peterhofskich Cesarskich, parkach wyrwała z korzeniami kilkaset drzew.

Widać że cholera serdecznie pokochała Petersburg, bo bardzo często raczy go odwiedzać; w roku jednak bieżącym tak niewiele ofiar wymaga, że o umiarkowaniu jej z wdzięcznością tu wspominają. Umierają z cholery wyłącznie prawie ludzie niższej klasy, niemający potrzebnych wygód i zbyt gorliwie czcący Bachusa.

W ostatnich czasach w Petersburgu dawał się czuć wielki brak robotników. Najprostszy i zupełnie nieumiejętny wyrobnik, dźwigający tylko ciężary przy wyładowywaniu okrętów, zarabiał około rubla na dzień.

Artur Doliński.

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

(Wyjątki z dzieła: Voyage auteur du monde par le C-te de Beauvoir.)¹⁾

III.

K a n t o n.

Kanton rozciąga się na ołku brzegach szerokiej rzeki i składa się z dwóch miast: wodnego i lądowego. Od rana konsul angielski pan Robertson zabiera nas z sobą i w jego rączej *yoli* przepływamy kanały tego miasta, krążąc wpośród tysiąca łodzi, na których zamieszkują całe rodziny. Dach z bambusów i suchych liści osłania każde z tych wodnych mieszkań; w głębi ich stoi ołtarz poświęcony pamięci przodków, oświecony małemi wonnemi pochodniami; przed nim dwadzieścia razy dziennie zapalają race i fajerwerki. Oto widać pływające kwietniki, prawdziwe tratwy ogrodnicze, gdzie w rodzaju oranżeryi wegetują razem za szkłem wśród małych drzewek strzyżonych i wykręcanych sztucznie kwiaty i Chinki. Te ostatnie mają policzki malowane karminem, brwi tuszem, a fizyonomie apatyczne i ospałe. Ale skoro tylko zmrok zapadnie, na tych łodziach zapalają światła, odzywa się muzyka i bogaci chińczycy zgromadzają się tu, dla przepędzenia przyjemnie wieczornych godzin, wypróżniając filiżanki herbaty.

Wkrótce przechodzimy do miasta lądowego, które przedstawia nam niemniej oryginalny widok: ulice mają zaledwie półtrzecia łokcia szerokości; są brukowane filzami, śliskie i nadzwyczaj natłoczone. Pierwsza, na którą wchodzimy jest zamieszkała przez handlarzy ryb; to też pełno na niej lepkiego błota, po którym z trudnością bez pośliznięcia się dwa kroki zrobić można; druga jest ulicą rzeźników; w wystawach ich wiszą pęki szczurów splaszczonych i wędzonych jak półgęski, oraz psy już na pokarm przyrządzone i tylko na ognie jeszcze ozdobione pęczkiem żółtych włosów; na trzeciej widzimy ogromne magazyny jedwabnych tkanin, dalej składy porcelany. Wszystkie te ulice wąskie jak korytarze przedstawiają widowisko trudne do opisania; wszędzie snują się mieszkańcy w sukniach jaskrawych i spiczastych kapeluszach z długimi warkoczami na plecach; mandaryni w ubraniu z niebieskiego jedwabiu ocierają się o szeregi ślepych żebraków, którzy suną po omacku trzymając się jeden drugiego za suknie lub o trędotwate i żebraków dotkniętych chorobą nóg zwaną *elephantiasis*, czołgających się po ziemi. Wszystkich zaś rozpychają i petracają przechodzące gromady silnych *coulies'ów* czyli posługaczy publicznych. Lecz niestety! na jednego porządnie ubranego chińczyka którego spotykamy, widzimy ze dwustu nieboraków schorzałych, zgłodniałych, prawie nagich i okrytych robactwem. Nad tém gwarném mrowiskiem, bujają w powietrzu prostopadle zwieszane i unoszone wiatrem tablice czerwone z napisami złotemi, są to ogłoszenia kupców, lub też zdania religijne i moralne.

Dwugodzinna przechadzka między hałaśliwą cizbą, po natłoczonych ulicach, wśród których pięścią trzeba sobie otwierać przejście, odurza nas. Wonie obrzydliwe, ohydne widoki przejmują nas wstrętem; bogactwo sklepów nas olśniewa; nadzwyczajny ruch robotników i posługaczy nas dziwi, a ta nędza niestychana boleśnie ściska nam serce; chcemy teraz użyć ogólnego

¹⁾ W numerach 16, 19, 20 i 22 r. b. dawane były ustępy z tejże podróży odbytej przez autora z księciem Penthièvre, a podobnie jak obecnie, stanowiące odrębną całość.

widoku na to miasto, w którym trzydzieści ulic przeszliśmy nie widząc nigdzie dalej jak dziesięć kroków przed sobą. Wchodzimy więc na wysoką wieżę drewnianą, a przeszedłszy dwieście pięćdziesiąt szczebli schodów, górujemy nad tym labiryntem wązkich uliczek i drewnianych domów. Nasza wieża jest niczem inném, tylko lombardem; jest to jedna z najdawniejszych instytucji Chińskiego cesarstwa. Na każdym z ośmiu pięter widzimy ułożone we wzorowym porządku paczki z napisami: „Rząd rozciąga swą opiekę nad tym dobroczynnym zakładem”, którego tutaj, w dalekim Wschodzie bynajmniej zastać się nie spodziewałem.

Szczyt wieży, niebiesko polewanemi dachówkami kryty, który nam służy za obserwatorium, wygląda jak skład apteczny. Dokoła ustawione są brzegiem naczynia fajansowe i zawierają one wytrył przeznaczony do wypalania oczu nieproszonym napastnikom. W oddali widzimy około trzydziestu wież podobnych naszój; straż umieszczona na każdej z nich, nietylko bije na gwałt w wypadku pożaru, ale ostrzega o złodziejach namnożonych tutaj więcej, niż w jakiej bądź części świata. Lecz miasto Kanton jest tak rozległe, że nie możemy ztąd nawet widzieć dokładnie murów i bram jego; dwie pagody zwracają naszą uwagę, kierujemy się więc ku nim z zamiarem dotarcia w końcu aż do góry obwarowanej, wznoszącej się w stronie północno-wschodniej, z której będzie można najlepiej jednem spojrzaniem *à vol d'oiseau*, objąć całe miasto.

Schodzimy na dół i postępując przez godzinę wśród zbitego tłumu, dosiegamy nareszcie pagody której szukaliśmy. Poświęcona jest ona bogowi opiekunczemu Północy; zaledwie weszliśmy do niej, gdy widok szczególny odwraca naszą uwagę od bonzów, od ich hučných tam-tamów i od malowanych Buddów. Spostregamy bowiem kłęb drzewek ustawiony na ołtarzu, wśród którego przebywa wąż święty, codziennie odwiedzany i karmiony przez gorliwych wyznawców. W podaniach chińskich istnieje także legenda o niewieście, która starła głowę węża; lecz Chińczycy przekreśliłi zupełnie ducha tej chrześcijańskiej tradycyi. Zamiast czcić dobroczynną niewiastę, składają ofiary wężowi-kusicielowi. Już na Jawie, w Singapurze i w Siamie widzieliśmy buddystów składających ofiary czarnym bóstwom i złośliwym geniuszom; mówiono nam, że gdy dzwonią z całej siły w swoje tam-tamy, czynią to dla odstraszenia ducha ciemności; ich zasadą jest: „nie troszczyć się o dobre bóstwo, które z natury swój jest dobroczynne, ale starać się przejednać złe, aby nie szkodziło”.

W naszych oczach czciciele cisną się wkoło poświęcanego krzaka, a odwracając się od malowidła wyobrażającego boginię depczącą węża, składają swe dary przed szkaradnym gadem, dwie stopy długim i wygrzewającym się w ciepłym popiele. Przy drzwiach pagody widzimy urnę, nad którą ucinają głowy kogutom przy składaniu przysięg; jest to symbol; mówi się: „niech głowa moja jak tego koguta uciętą będzie w wieczności, jeżeli jestem krzywoprzysięcą”. Zwyczaj ten, nie bez przyczyny pilnie utrzymywany przez bonzów, serdecznie nas zabawia. Koguty bowiem, opłacając kosztą publicznej pobożności, dostarczają im zarazem smacznych podwieczorków.

Mury tej pagody okryte dziwaczniemi freskami, ozdobione są nadto wielkiemi tablicami złoconemi, na których są wypisane nazwiska i godności bożków, oraz ludzi znakomitych, uczczonych przez cesarza za jakiś czyn pamiętny. Każdy nowy władca wstępując na tron,

posuwa ich o jeden szczebel wyżej w tej stopniowej kanonizacji. Pokazują nam właśnie nazwisko jednego bożka, wyniesionego świeżo o sześć szczebli nad innych. Jest to ten, pod którego opiekę uciekli się Chińczycy w dniu, gdy tak straszną klęskę zadali Anglikom przy forcie Taku, u ujścia rzeki Pei-ho; niżej widzimy trzy nazwiska wykresłone. To wice-król Kantonu, pobity w zeszłym miesiącu przez bandy powstańców, ukarał w ten sposób bożków, którzy go wysłuchać nie chcieli.

Rzeczywiście, zaprowadziwszy nas na dach pagody, konsul pokazuje nam flotyllę stojącą na kotwicy nieopodal, *jonki* te powróciły przed sześciu dniami z masztami połamanymi i podziurawionymi ścianami, wioząc niedobitki wojsk cesarskich, które zostawiły tysiąc poległych na placu, nie zdoławszy zmusić do posłuszeństwa sąsiedniej prowincji, odmawiającej wręcz opłacenia podatków wice-królowi.

Druga pagoda którą zwiedzamy, poświęcona jest „pięciuset bogom”. Wszystkie te bóstwa są tu wyobrażone w posągach trzy stopy wysokich i jedne nad drugie komiczniejszych. Nie byłoby nic do powiedzenia o tej świątyni, tak jak o wszystkich innych pagodach chińskich, gdyby nie były zwróciły mojej uwagi wyobrażenia świętych buddyjskich przybranych w infuły, krzyże i różańce; gdyby nie dziwny zwyczaj, który wymaga, aby w dowód uszanowania zatrzymać kapelusz na głowie i dziwniejszy jeszcze widok bonzów rozbierających i zjadających na miejscu wieprza, w całości upieczonego i złożonego w ofierze dla Buddy.

Wychodzimy na koniec i kierujemy się wprost na północ, aby z wyniosłości rzucić ogólne spojrzenie na miasto. Tutaj, na północnym jego krańcu znajduje się sławna pagoda pięcio-piętrowa, otoczona dwunastu fortami i górująca nad miastem całem; wdrapujemy się na jej szczyt. Budowa jej z drzewa, malowana na ciemno-czerwony kolor, wspaniale wygląda; nie zostało jednak w tej świątyni buddyjskiej ani śladu dawnego jej przeznaczenia, a natomiast ściany pomazane są karykaturami i napisami żartobliwymi; są to pamiątki pobytu tutaj wojsk sprzymierzonych w czasie okupacji od r. 1858 do 1861. Z wierzchołka jej widzimy dokładnie zaokrąglony trójkąt, który tworzy stare miasto lądowe, opasane murami ciągnącymi się na dziesięć przeszło kilometrów; szesnaście bram o dziwacznych bastyonach, pagody, meczety, *yamuny*, (t. j. pałace mandarynów otoczone parkami i koszarami). Oto, na lewo wyłom, przez który wdarły się wojska sprzymierzone w 1857 r.; tuż obok, u stóp muru, pod cieniem wysmukłych topoli, jest cmentarz gdzie spoczywają zwłoki walecznych żołnierzy, poległych przy szturmie. Dalej widać świątynię „pięciu geniuszów” i kiosk otwarty, pod którym znajduje się olbrzymi dzwon; celne kule tu i owdzie porysowały spiż. Opowiadają nam, że dzwon ten odlany został temu lat dwieście; odezwał się tylko trzy razy, poczem bonzowie skazali go na milczenie, prorokując, że za czwartym razem obwieści upadek starożytnego miasta. To też przy bombardowaniu Kantonu w 1857 r. dowódcy kanonierek współubiegali się w celowaniu do dzwonu. Kule prędko dokazały swego; dzwon się odezwał, a w dwa dni Kanton był wzięty.

Chcemy poprzestać na tem ogólnem wrażeniu; przełaskadamy miasto widziane z wysokości i z oddalenia, nad cuchnące uliczki, przez które trzeba brnąć wespół z trędotawami żebrakami; prosimy więc naszych towarzyszy, żeby nam pokazali jego okolice. Idziemy naj-

pierw przez przeciąg dwóch kilometrów szczytem murów; mają one dwadzieścia kilka stóp grubości; przy każdej strzelnicy stoi działo dachem z drzewa i liści osłonięte; ma ich być ogółem dokoła miasta dwa tysiące. Ale znaczna ich część nie jest ze spiżu odlana, lecz wyłobiona z kamienia i gdyby wszystkie te staroświeckie narzędzia mordu miały być użyte, rozprysłyby się niezawodnie i więcej szkody zrobiły obłożonym jak oblegającym.

Wyszedłszy z miasta przez bramę Wschodnią, mamy przed sobą krajobraz najsmutniejszy, jaki można sobie wyobrazić: pagórki nagie i skaliste, kałuże wody pleśniejącej, stopy nieczystości, drogi nieprzebyte, a dokoła porzucane grobowce. Wkrótce znajdujemy się wśród warownego ogrodzenia okalającego stawy, na których hodują poświęcone ptaki. Mijamy nową bramę i widzimy przeszło sześćset domków małych, rzędem stojących. To przytułek obmyślony przez rząd dla starców. Do tysiąca tych biedaków, tych żyjących szkieletów mieszka tutaj w ciemnych izdebkach, śpiąc obok otwartej trumny, która na nich czeka; silniejsi z nich zabawiają się wyrzynając drżącymi palcami różne ozdoby na tej skrzynce, która jutro może się zamknąć nad nimi. Ten naród stoików nie lęka się śmierci.

Zaraz obok znajduje się miasto zmarłych, zabudowane w czworobok; tworzy wązkie uliczki, na które wstęp jest nam bez trudności dozwolony; każdy domek z granitu oświetlony jest żałobną lampą. Znajduje się tu dziewięciuset pięćdziesięciu mieszkańców, a tylko trzy żyjące istoty, t. j. dozorczy. Za opłatą piętnastu franków miesięcznie wolno jest składać w tem miejscu ciała zmarłych, dopóki krewni nie znajdą funduszu lub środków dla przewiezienia ich w strony rodzinne. Podziwiam tę łatwość, z jaką każda rodzina może tutaj dostąpić pociechy zgromadzenia w ojczystej ziemi śmiertelnych szczątków ukochanych, których koleje życia zagnały w dalekie kraje... Ta cześć Chińczyków dla zmarłych ma w sobie coś wzruszającego i rażąco sprzeczność tworzy z ich znanem okrucieństwem względem żyjących. Jakże kosztownymi i kłopotliwymi wydają się wszystkie nasze formalności w podobnym razie, gdy je porównamy z obyczajami tutajszemi; bo oprócz opłaconych, znajduje się tu jeszcze pięćset trumien, za które rodzina nie była w stanie zapłacić, a które mimo to przetrzymywane są cały miesiąc.

Przechodzimy z końca w koniec tę nekropolię wśród kwiatów, kadzideł i pochodni smolnych. Ten spokój, te żałobne światła, ta cisza śmierci sprawiają jakieś nieopisane wrażenie i mimowolnie nasuwa się pytanie: Czy to rzeczywistość czy sen?

Jeżeli to sen, ten sen nie jest wesoły. Ale u Chińczyka cześć dla zmarłych zdaje się być jedynym celem życia; jest to rys charakterystyczny tego narodu. Lampy, które się dzień i noc palą na łodziach, fajerwerki puszczane o wschodzie i o zachodzie słońca przed każdym domem, ołtarzyki malowane w każdym sklepie, to wszystko są tylko rozmaite objawy czci, jaką ten lud oddaje swym ojcom. Czyby w tem poszanowaniu przeszłości nie należało szukać głównej przyczyny uporu, z jakim odpycha każdą nowość? Może grzebiąc ojca między grzędami swego ogrodu, jak to jest tutaj przyjętym zwyczajem, przysięga na jego grobie naśladować go we wszystkim, a tak każde następne pokolenie bierze wzór z pokolenia, które je poprzedziło?

Lecz czas już opuścić to miasto zmarłych; słońce się kryje, a żeby powrócić do naszego mieszkania, potrzeba nam jeszcze przejść miasto żyjących, którego

bramy co wieczór się zamykają. Wracamy więc przechodząc około grobowca jenerała tatarskiego Minga, który zdobył Kanton kilkaset lat temu i którego śmiertelne szczątki strzeżone są przez lwy, wielbłądy, i rycerzy wykutych z granitu.

Nagle, podczas gdy przyspieszamy kroku przechodząc błotnistą i pustą drożyną, między leptonami z gliny domami na pół zrujnowanej wioski, widzimy trzy kroki przed sobą, wśród traw zciętych mrozem, mały koszyk z sitowia, którego wieko jest zaszyte, coś porusza się wewnątrz; miękka wata podnosi się i opada; nożem rozcinamy wieko i znajdujemy małe dziecko, nagie, sine i skostniałe, które zdaje się żyć dopiero od dwudziestu czterech godzin; zaledwie ujrawszy światło dzienne, jęczy żałośnie; po chwili inne jęki odpowiadają mu; wychodzą one z sąsiedniego krzaka, gdzie drugie dziecko również walczy ze śmiercią. To ostatnie było zapewne przerzucone przez mur, bo zdaje się potłuczone i pokaleczone; i tak idąc dalej znajdujemy wzdłuż tej ścieżki, na przestrzeni półtora tysiąca kroków siedmioro dzieci przed kilkoma godzinami zrodzonych; niektóre dotknięte są trędem, inne prawie na śmierć zmarznięte, jedno z nich dostało pchnięcie nożem w bok! Nie umiem wyrazić, z jakimi uczuciami litości, żalu, oburzenia patrzymy na biedne, bezsilne istoty, porzucone tu w takim stanie, że nic nie zdoła przywrócić ich do życia. Siedmioro na jednej ćwierci mili niespełna, nie jestże to najokropniejszy, najboleśniejszy w świecie widok? Pierwszego już dnia pobytu naszego w Chinach traf przypadkowy ukazał nam obraz najszkaradniejszego okrucieństwa tego ludu; szukając dalej między stosami nieczystości, nie możemy znaleźć ani jednego z tych niebożątek, które możnaby jeszcze przywrócić do życia; tu krew płynie, tam zimno zmroziło to ciało wątłe, dalej jakieś dziecko otrute wije się w boleściach; lecz tam-tamy odzywają się ze szczytu wałów i ostrzegają nas, że trzeba pospieszać aby nam odwrót nie został zamknięty. Unosząc więc w sercu ból dotkliwy, oddalamy się szybko i w godzinę znajdujemy się w Sza-Myen, dzielnicy Europejczyków.

Wyznaję szczerze—niech nasi misjonarze zechcą mi to wybaczyć, nigdy wierzyć nie chciałem w podrzucanie małych Chińczyków! Skoro drapieżne zwierzęta nawet mają staranie o swem potomstwie, zdawało mi się niepodobieństwem, żeby mógł być na świecie kraj, w którym opuszczanie dzieci byłoby weszło w obyczaj. Że się zdarzały zbrodnie pojedyncze, dzieciobójstwa takie, jak się trafiają w naszych wielkich stolicach, w tem widziałem tak tam, jak tutaj, tylko zwykle smutne następstwo ułomności i nędzy ludzkiej; w niewiadomości mojej poczytywałem to za wypadek pospolity, który korespondencye nadchodzące z Chin a u nas powtarzane i przerabiane przesadzały rozmyślnie, aby obudzić współczucie Europy.

Ach! teraz jestem przekonany i schylam czoło! Tomasz niewierny, dotknąłem się sam rany i wierzę! Całe życie będą miał przed oczami te siedmioro dzieci porzuconych na drodze u bram pierwszego miasta chińskiego które zwiedzaliśmy, te siedmioro dzieci, które odkryliśmy trafem w pierwszej naszej przypadkowej przechadzce w okolicach Kantonu. Nie dziwi mnie już cyfra dwudziestu do dwudziestu pięciu tysięcy, do której *Roczniki szerzenia Wiary* podnoszą liczbę dzieciak porzucanych rok rocznie w wielkich miastach chińskich.

Z tej cyfry bolesnej i z tego co sami w przeciągu jednej godziny widzieliśmy dzisiaj, cóż innego wnosić możemy, jak, że ta zbrodnia przeszła tu istotnie w oby-

czaj narodowy i że porzucanie dzieci, czy to się je sprzedaje czy morduje nie oburza bynajmniej większej części matek chińskich, które oczywiście noszą w piersiach kamień w miejscu serca. Potrzeba nam jeszcze przekonać się, o ile ten zwyczaj jest tu bezkarnie cierpiany i czy mandaryni zamykają tylko oczy na to nadużycie, lub też nie potępiają nawet z zasady tylu matek występnych.

Na tém bolesném wrażeniu kończą się nasze dzisiejsze wycieczki; rozprawiając o tém cośmy widzieli, spędzamy wieczór przy kominku naszego uprzejmego gospodarza, p. Hancocka.

W Kantoni nie istnieje nic podobnego do hotelu, do karawanseraju, żaden przytułek publiczny dla podróżnych. Kupcy europejscy przyjmują do siebie tych, którzy im są poleceni i takie właśnie polecenie otrzymaliśmy od gubernatora Hong-Kongu do p. Hancocka. Przemieszkuje on zazwyczaj sam jeden w swym domu spędzając ranki nad probowaniem setnych gatunków herbaty; jest bowiem jej sorterem (tea-taster) dla domu Gibb; pokazuje nam swoje laboratorium, gdzie każda szczypta kosztownej rośliny jest w równych częściach nalana wodą różnego stopnia gorąca i wszystkie te dekokta z rozmaitych plantacji są przez niego rozważnie kosztowane, a potem umiejętnie i drobiazgowo klasyfikowane. Od wyboru naszego gospodarza zależy kupno tysięcy skrzyń herbaty i milionowe zyski dla domu Gibb-Gibb & Comp.

(d. n.)

EGLANTYNA.

Powieść pani Beecher-Stowe.

PRZEKŁAD Z ANGIELSKIEGO.

J. C.

Każda praca znakomitej amerykańskiej autorki, powinna zwrócić uwagę myślących czytelników; w każdej bowiem oprócz charakterów, z niewypowiedzianym narzysowanymi wdziękiem, mieści się wiele pięknych i podniosłych myśli. Powieść którą podajemy tu w skróceniu, dla zbyt obszernych dla pisma naszego rozmiarów, jest jedną z jej prac ostatnich. Rozpoczyna się wspomnieniami lat dziecinnych, młodych bohaterów.

„Pierwsze chwile mego życia, mówi Horacy, ubiegły w zaciśniętej wioski, rozłożonej nad brzegiem spokojnej rzeki, co tocząc swe nurty w pośród gór i skał, wybiegała szumnym strumieniem na różnobarwne łąki. Szklista jej powierzchnia odbijała złote słońca połyski i zdawała się gwarzyć wesoło z otaczającym ją światem kwitnącej przyrody. Wązka ścieżka nad wybrzeżem, prowadziła do wiejskich zagród, w pośród których stał dom wspólnej modlitwy, z wysoką wieżą a obok, w obszernym podwórzu, szkoła wyższa i niższa. Nieco dalej, był sklep, gdzie można się było we wszelkie zapotrzeby, oraz dom pocztowy, główne siedlisko nowin ze świata i rozpraw miejscowych, polityków i teologów. Gdy zazwyczaj mężczyźni oddawali się tam poważniejszym rozmowom, ich żony i córki, gwarzyły pomiędzy sobą o drobiazgach i strojach, schodząc się do ogólnej sali. W pobliżu stała austerja; Wywieszony szyld zapraszał gościnnie przechodniów, do zakosztowania napojów, zakazanych przez towarzystwo wstrzemięźliwości. Pomimo jednak niekorzystnych pozorów, dom ten nie odznaczał się zgorzeniem podczas odwiedzin mnogich gości. Zdarzało się nawet, że pastor miejscowy, wstępował tu, przechodząc w mroźnej porze, aby się rozgrzać szklan-

ką herbaty. Napominał wtedy surowo, małą liczbę próżniaków, którzy się tam kręcili, marnując czas na gawędzie.

Pastor ten, o ile sobie przypominam był wzorem szlachetności, a przytem, odznaczał się uprzejmością, pochodzącą z dobrego wychowania. Ukazywał się zawsze w całej powadze, i godności swojej, zachowując wyszukaną staranność ubioru.

Oldtown było głównie Indyjską osadą. Tu pierwszy misyjonarz zatknął sztandar krzyża; gorącą modlitwą i żywą wiarą, zniewolił dzikie serca leśnych mieszkańców, a przy usilnej pracy duchowej, zgromadził ich w jedną rodzinę wiernych wyznawców Chrystusa. Uczyl ich rzemiosł i rolnictwa, a nawet, ujął w zgłoski ich mowę, tak, że mieli w końcu Biblię w rodzinnym języku. Ale po śmierci pobożnego apostoła wiary, uczniowie jego rozbiegli się po świecie, pozostały tylko obrzymie drzewa, które posadzili przed drzwiami plebanji. Wznosiły się one teraz wspaniale, uwieńczone koroną zieleni, jakby filary wspomnienia, nadające uroczą powagę budowli, gdzie uczniowie ci pierwsze otrzymali nauki. Pastor Lothrop należał do znacznej liczby uczonych, którzy wzrastając w mądrości i cnocie, zapatrują się na życie z całą spokojnością filozoficznej powagi. Nieświadomi jego walk, pokus, cierpień i namiętności, wolą oni raczej zwracać uwagę na to co wzniosłe i szlachetne, niżeli zgłębiać ponure i udęczające ducha ludzkiego tajemnice. Ożenił się z wdową, która nie tylko majątkiem, ale i pochodzeniem, należała do arystokracji Bostonu. Mistress Dorota Lukrecja Dihwehl, oceniając uprzejmość i dobre wychowanie pastora Lothrop, podzieliła jego zacisze, w zakątku odludnej okolicy.

Wkrótce skromne parafialne zebranie, ujrzało ją wchodzącą do kościoła w całym przyborze wspaniałego stroju, to jest: w powłoczystej atlasowej sukni, co obok pięknego powozu i bogatej uprząży, wielkie wywołało zdziwienie.

Wystawcież sobie wrażenie jakie uczynił widok tak wspaniałej pary na 10 letnim chłopczynie, który zwykł pasać bydło, bosi, w szarej kurteczce, a w chwili gdy się zaczyna własna jego historia, po raz pierwszy zapukał do wielkich drzwi wchodowych plebanji.

— Czy Mr. Lothrop jest w domu?... rzekłem rumieniąc się po uszy.

— Jest, odrzekł dobrotliwie wysokiego wzrostu służący, który mi otworzył. Był on zupełnie czarno ubrany i przejęty niejako powagą domowej godności, a wydawał mi się jakby ponurym zwiastunem smutku.

— A więc raczcie mu oświadczyć, że mój ojciec umiera, a matka prosi aby... tu przejęty żalem i trwogą, w głos się rozplakałem.

Czarny człowiek miał dobre serce i rzekł do mnie, przechodząc z majestatu swojej powagi, do łagodnego współczucia.

— Niech cię Pan Bóg pocieszy. Nie płacz że tak moje dziecko, zaraz ją pani poproszę.

I niezwłocznie znalazłem się w obecności lady Lothrop, jak ją zwano w okolicy.

Była to osoba wysokiego wzrostu; smukła, nieco nakazująca jej postawa, zdawało się jakby zesza z ram portretu, ale pełne niewieściego wdzięku obejście, i głos jej łagodny, ośmielił mnie zaraz. Wypytawszy o moje zmartwienie, pocieszyła mnie dobrą słowem, obdarzyła kawałem ciasta, a dla matki posłała butelkę wina, dołączając książkę: *Pociecha Strapionych*, która mieściła stosowne modlitwy. Kiedy Mr. Lothrop wszedł do pokoju, uważałem że troskliwie poprawiła nieco pognie-

cione jego białe mankiety, na których została mała plamka atramentu, jako ślad przyszłego niedzielnego kazania.

— Czy też nie zechcesz mój drogi, rzekła biorąc bogato oprawną książkę, zanim pójdziesz do chorego ojca tego chłopczyka, przeczytać cudnego rozdziału o odwiedzaniu ubogich i chorych.

— Chętniebym to uczynił droga Doroto, ale teraz niepodobna, odpowiedział z uprzejmą grzecznością, odkładając księgę na stronę, bo pośpieszam tam gdzie mnie wzywają. I poszedł w tej chwili, a lady Lothrop, patrzała z westchnieniem za małżonkiem, dopóki jej z oczów nie zniknął: widocznie widziała w nim ozdobę i podstawę zgromadzenia wiernych.

O ile pamiętam mego ojca, była to wyższa szlachetna natura. Wzniosły jego umysł, zamilowany w nauce, nie mógł się jej zupełnie poświęcić. Syn ubogiej wdowy, która ciężką pracą dorabiała się grosza aby go wyżywić i ubrać, pomieszczony został w fabryce papieru. Dzieciną jeszcze ręką chwycił się pracy aby w końcu osiągnąć światła i wiedzy. Szkoła w Harwood ukazywała się spragnionemu jak grób Jerozolimski wiernym wyznawcom Chrystusa. Pracował usilnie, odejmując sobie snu i pożywienia; skupował potrzebne książki i tyle wreszcie dokazał, że przebywszy wstępną szkołę, był przyjętym do akademii. Z kolei został nauczycielem szkółki, poznał moją matkę i pokochał ją: to było nieszczęściem dla nich obojga, bo zamiast postępować w dalszym zawodzie, wolał pozostać w *Oldtown*.

Wielkiem zadaniem kobiety jest nie sprowadzać z obranej przez niego drogi, człowieka który ją pokochał, i strzedzaby jej nie poświęcił przyszłości swojej. Nie mogłem nigdy zauważyć aby mój ojciec żałował swego postępku, ale to pamiętam że chmura cichego smutku cmiła życie nasze pędzone w niedostatku najgwałtowniejszych potrzeb.

Matka moja jak mówiono była uroczym dziewczęciem, podobna do kwiatu nęcącego świeżością barwy i woni. Ale wąż gałązka schnie pod mroźnym wiatru powiewem, a zerwany kwiatek uwiędnie i nie pozostawi śladu, że kiedyś jaśniał pięknością wychylając głowę z przejrzystych osłonek opiekuńczej zieleni. Ożywający dowcip i dziecinna wesołość mojej matki, minęły w pierwszym roku jej małżeństwa. Kłopoty, zajęcia gospodarskie i cierpienia, zniszczyły jej świeżość. Wykarmiła dzieci wychowując je z uległą cierpliwością i więcej okazując żalu niż radości nad ich na świat przyjsięciem.

Ojciec starał się jej wynagrodzić tkliwym przywiązaniem wszystko co znosiła, a przytem pracą chciał powetować opuszczenie w naukowym zawodzie, aby się dalej posunąć. Nie uważał więc że pracując dniem i nocą wycieńczał siły i w końcu upadł pod ciosem niszczącej choroby. Gdy przyszedł kres jej ostatni, uczuł instynktową potrzebę aby dodać uchodzącej duszy wyższej pociechy i siły wewnętrznej. Słyszałem jak matka tkliwie go wzywała aby posłał po pastora, na co się też i zgodził bez oporu. Pamiętam jak zalana łzami wyszła na spotkanie pana Lothrop i odpowiadając szczegółowo, n anieco obojętne, ale uprzejme jego zapytania, tyczące się zdrowia i powodzenia chorego, dziękowała mu serdecznie za przysłane przedmioty przez lady Lothrop. Następnie pastor wszedł do pokoju ojca, który leżał na schłodnem, chociaż ubogiem posłaniu, z gorączkowym rumieńcem na twarzy. Długie i gęste włosy spadały w nieładzie z ponad wzniesłego czoła. Piękne i szlachetne rysy tchnęły wyrazem boleści. Wychudłe ręce złożone na piersiach nadawały całej postaci piętno takiego cier-

pienia, że te ostatnie chwile drogiego ojca, zawsze nie-
wygasłem w mej pamięci odbijają się wspomnieniem.

Ojciec mój nie tylko był uczonym ale i filozofem, którego myśli błąkały się nieraz daleko po zaznaczonej granicy wiedzy ludzkiej, a jak owa gołębica z arki Noego, która nie czuła oparcia pod stopami swemi, tak umysł jego wzbijał się ku krańcom nieskończoności, potrzebując wtenczas silnej i wzniosłej podpory, której współczująca tylko dusza udzielić jest w stanie. Było coś błagalnego i badawczego zarazem w spojrzeniu jakim ogarnął pastora, jakby instynktownem przecuciem przejrzał duszę człowieka.

Pamiętam jak pastor ukląkł przy ojcu, wzywając łaski Najwyższego i Jego błogosławieństwa, do przebycia niezmiernej przestrzeni, która łączy proch ziemski z potęgą majestatu.

Pamiętam jak mój ojciec tęsknym niespokojnym wzrokiem wpatrując się w pomrokę nieznanych światów, przymknął na chwilę powieki w uczuciu spokojnego cierpienia. Po modlitwie pastor wyraził nadzieję że ojciec zgodzi się z wyrokiem Najwyższej woli i wyszedł udzielając nam swego błogosławieństwa.

— A więc Zuzanno jesteś zadowolona, spytał ojciec naszej matki, biedne dziecko moje, dodał tuląc ją do siebie, z tem wejrzeniem gdzie już przebijał przedświt innego życia, byłaś tak pięknem i uroczem dziewczątkiem, zaślubiając cię wyrządziłem ci wielką krzywdę.

— Nie mów tak Horacy, wyjąkała matka.

— A kiedy to prawda, ciągnął dalej, kwitnęłabyś w dostatku i pomysłności... ten biedny mały człowieczek dodał, głaszcząc moją głowę... może się spotka z lepszym łaskawszym losem. Gdybym miał trochę szczęścia jak oto wielu mnie podobnych, byłbym także czemś na świecie, ale życie moje było ustawiczną nędzą i upadkiem. Spal moje papiery Zuzanno, przyrzecz mi to.

— Uczynię co zechcesz, Horacy.

— A jak umrę... to Zuzanno nie pozwalaj się tu zbierać próżniaczkiej gawiedzi nad martwym i bezbronem ciałem. Śmierć sama z siebie jest dosyć straszną, nigdy nie mogłem pojąć dla czego ją pogorszać pogrzebowemi okropnościami. Zamiast mnie obwijać całunem daj mi zwykły ubiór, aby biednym dzieciom naszym zostało po mnie mniej przykre wspomnienie. Ostatni widok zmarłego winien być miłym osobom ukochanym, przyrzecz mi więc spełnić czego żądam.

— O mój Horacy! wszak ja zawsze byłam posłuszną twojej woli.

— Tak drogie dziecko, byłaś chyba zbyt dobrą dla mnie.

— Mój drogi jakże możesz tak mówić, zawołała matka padając z głośnym płaczem na łóżko ojca, ale jego wielkie jasne oczy nie błyszczały łzami, tylko się smutno w inną stronę zwróciły.

— Moja najdroższa musisz się uspokoić, dodał z czułością ale spokojnie, a że już jutro nie będę z tobą, trzeba postać po twoją matkę żeby cię przyszła pocieszyć i pewnie tego nie odmówi.

— Ojczy, zapytałem poważnie, gdzie się wybierasz?

— Gdzie? odrzekł patrząc na mnie smętnym i jasnym wzrokiem, Bóg o tém wie mój synu, ale ja nie, dosyć mi na tem że tam będę gdzie on każe.

— A teraz Horacy, rzekła do mnie matka, wybierzesz się do babuni i dziadunia, prosząc ich aby tu przy-
szli, Bill tu musi z nami pozostać.

Brat mój Bill, dwa lata młodszy odemnie, mniej sil-

ny i zdrow, nie tyle był swawolny i hałaśliwy, dla tego też matka wolała go przy sobie trzymać, a mnie używano zwykle do posełek i usług zadomowych.

Ojciec miał do mnie słabość, bo zawsze miałem staranie o jego książkach i papierach, lubił słuchać mego czytania, na które zwracałem więcej uwagi niż to zwykły czynić inne dzieci mego wieku. Byłem więc ulubionym towarzyszem a razem sługą chorego, chętnie się podjąłem poselstwa do babki, bo ją uważałem jako najsilniejszą podporę, w czasie smutku i trwogi. Jeżeli matka moja była drobną, słabą, znękaną kobietą, za to babka należała do pokolenia owych silnych, barczystych, śmiałych matek rodu Izraela, które wiodą ród walecznych olbrzymich rycerzy stariej Anglii. Była to mężna i prawa dusza, która z każdą przygodą życia odważnie się potykała. Dziadek mój, zamożny dzierżawca, uważany był za bogacza wioski, posiadając najobszerniejsze grunta, dom jego nieco był oddalony od naszego mieszkania i stał właśnie nad brzegiem przejrzystej rzeki, o której wspominałem; dziadek był spokojnym, pogodnej duszy starcem; miał zawsze dobre słowo i uśmiech dla każdego na zawołanie, nigdy się nie gniewał i był głęboko przekonany, że jakkolwiek bądź nie tylko ogólne, ale i jego własne sprawy obróćą się, zawsze wezmą właściwy obrót, chociaż się o nie troszczyć nie będzie. Babka moja przeciwnie była czynną, poważną, przewidującą kobietą, i każde jęj zajęcie dokładnie było spełnione. Miała właściwe zdanie o ludziach i rzeczach, a daru wymowy i przekonywania, używała na korzyść tych którym się przydać mogły. Kiedy ojciec czuł się jeszcze zdrowym i silnym, miewał z nią częste spory religijnej treści, w chorobie jednak unikał wszelkich tego rodzaju dyskusji. Gdy teraz ujrzał ją wchodzącą do swego pokoju, silne wzruszenie odbiło się na jego wyrazistym obliczu. Ona zbliżyła się do łóżka, ujęła rękę jego z serdecznym uściskiem

— Otóż matko przyszła na mnie kolej rzekł z uśmiechem, posłałem was prosić abyście zabrali żonę i dzieci pod waszą opiekę.

— Chętnie się tego podejmuję wszak nie wątpisz o tém.

— Niech was Bóg błogosławi matko, ale szczególnie polecam wam Horacego, odziedziczył on moją namietność do nauki, jeżeli będzie miał należyłą pomoc, może się wspiąć tam gdzie ja nie doszedłem; zostawiam mu moje książki, ty mu podasz rękę matko.

— Dobrze mój synu, dodała drżącym od wzruszenia głosem, czy jesteś już należycie przygotowanym do tak ważnej podróży?

— Matko, odrzekł uroczyście, chociaż z wysileniem, kto tyle przebył i wycierpiał na łożu boleści, ten się nauczył czuć i rozmyślać, dążyłem i duchem dalej i wyżej niż wyrzucić potrafię, zastanawiałem się poważnie, ale wzrok nasz ciemny tam się dopiero rozjaśni. Możesz być spokojną, jestem w ręku Stworzyciela i Pana, cóż mi się złego stać może?

Po śmierci mego ojca, zebrali się wszyscy krewni, przyjaciele, dalsi i bliżcy znajomi. Po odmówionych modlitwach, przy uroczystym i poważnym smutku, proch został do prochu ziemskiego złożony. Ponury odgłos ziemi, spadającej na trumnę, brzęk szpadli—przerywały jedynie tę uroczystą ciszę, która trwożną powagą śmierci, przejmowała nawet i obojętnych widzów, wymowniejszym od słów wrażeniem. Od grobu męża, matka moja odprowadzona została z dwoma synami do domu rodziców, który stanął otworem wdowie i sierotom.

Niedziela była dniem następnym, a według uświęconego zwyczaju, rodzina zmarłego, oraz cała drużyna

krewnych i znajomych winna była zebrać na pośmiertne modlitwy. Mój wuj Bill, młody student Uniwersytetu w Cambridge, przybył uświadnie aby uczestniczyć wraz z nami temu obrzędowi. Był on wesołym, dowcipnym młodzieńcem, którego żywe usposobienie zupełnie się nie zgadzało ze smętną powagą tej chwili, ale jednakże jego obecność i serdeczne obejście, rozjaśniło nieco jej pomrokę. Prócz tego oddziaływał korzystnie na ciotkę Aloizę, nie tylko, że stawała się łagodniejszą w czasie jego bytności, ale nawet ostre i spiczaste jej rysy, przybierały wyraz podobny do uśmiechu, a oczy mniej przenikliwym przesywały wzrokiem, tak, że nawet zdawała się przystojną.

Biedna ciotka Aloiza!

Obawiam się aby szczerze słowa moje nie obrzuciły jej niekorzystnym światłem w oczach czytelnika, ale możnaby do niej zastosować podobieństwo orzecha, kryjącego zdrowe ziarno pod twardą i chropawą łupiną. Nikt od niej więcej nie wysługiwał się całej rodzinie i sąsiedztwu. Na jej sercu ciążyły troski i kłopoty ogólne; ona się modliła, czuwała i zabiegała o wszystko, co nas dotyczyło. Jednakże gdyby się mniej turbowała, pewnieby uprzejmiejszą była, bo tém przywłaśczyła sobie najwyższą władzę nad całą gromadką, pragnąc, aby każdy nie tylko był szczęśliwym, ale szczęśliwym podług jej woli i wyobrażeń. Gdyby wszyscy postępowali przez nią wytkniętą drogą, stosując się do ustanowionego rodzinnego kodeksu, byłoby pewnie mniej zmarszczek na jej twarzy. Ciotka Aloiza była nabożną chrześcianką, ale popełniała codzienną omyłkę przy odmawianiu modlitwy Pańskiej, czego i my się często bezwiednie dopuszczamy, bowiem zamiast: „bądź wola twoja” zwykła myśleć: „stań się wola moja.” Któż z nas osądzi się być o tyle bez winy wtęj mierze, aby mógł rzucić kamień na ciotkę Aloizę?

Ojciec mój nie zgadzał się z nią wcale, każda jej bytność w naszym domu pobudzała burzliwe żywioły jego umysłu. Wzajemna ich niechęć była skutkiem ustawicznych sporów; trudno się więc dziwić, że ciotka nie pojmowała nigdy uwielbienia mej matki, i nie należała do rozpaczających po jego śmierci.

Odtąd biedna wdowa stała się posłusznym narzędziem woli starszej siostry. Była bowiem cichą, łagodną niewiastą, niezdolną do żadnego oporu, jak owe kwiatki, rosnące nad drogą, do których każdy przechodzień zuchwała ścigała rękę, uważając je za własność swoją. Wybierając się do kościoła, ciotka Aloiza rozpoczynała swój zawód panowania od naszej matki, upinając czepek wdowi; próbowała go przekręcając jej głowę na wszystkie strony, i coraz innym układając sposobem, jakby miała pod ręką drewnianą lalkę. Wzięła się i do nas, groźnie upominała, aby nie psuć ubioru, ani walać kołnierzyków, lub też słowem, spojrzeniem nie narażać się na karę, lub naganę Sir Izraela Sterne kościelnego. W ciągu tygodnia rzeczony Izrael Sterne był raczej wesołym, światowym towarzyszem, pełnym śmiesznych opowiadań, które z głębi swjej pamięci wysnuwał, ale w dniu świątecznym przybierał postawę nieubłaganego wroga swawolnych chłopców, ścigał płomienistym wzrokiem wszelką niespokojność w kościele i nigdy jej nie przepuścił.

Wejście do kościoła jednoczyło się z okropnym wspomnieniem tej chwili, kiedyśmy stali nad grobem ojca, słysząc szelest szpadłów i spadającej ziemi. W drodze ośmieliłem się zapytać matki pocichu, co będziemy dalej robić. Ciotka Aloiza odpowiedziała mi,

że nie należy jej przeszkadzać, kiedy się modli, ale iść za jej przykładem, być dobrymi dziećmi i niewiele mówić.

Dom modlitwy, do któregośmy zmierzali, był wybudowaną szczytną budowlą, oświeconą rzędem wspaniałych okien, cały zaś kształt jej, tak różny od mieszkalnych domów, wskazywał, że jest przybytkiem ducha, nie ciała. Był on dawniej postawiony dla nawróconych Indian, a chociaż z licznego ich pokolenia, zostało tylko kilka rodzin, zasługujących ze wszech miar na szacunek ogólny, zostawiono im środkową część kościoła, do którego się zjeżdżali na swoich wózkach, podobnie, jak biali ich sąsiedzi.

Głównym ich patryarchą był Justynian Wabar; szanowna, wyniosła postać tego starca ukazywała się na frontowej ławce, obok swego kolegi Efraima. Łagodny, nabożny, rozumny, przedstawiał prawdziwy typ modlącego się Indianina, podług tradycyjnych zasad pocziwego ojca Eliot. Z drugiej strony siadała żona jego Keturach, przyjąwszy chrzest, była jednak skłonna do zabobonów pogańskich i często się zwracała do dawnych obrzędów.

Stara Keturach była cudownym zjawiskiem dla dziecięcej mej wyobraźni; różne trwożące wieści krążyły o niej w okolicy. Przypisywano jej niezwykłą tajemniczą wiedzę i potęgę. Lubiła siadać w kącie, przy kominie, w czasie gwałtownej burzy, nucąc indyjskie pieśni, z których jeszcze pamiętam ostatnie słowa: *Ahmaga, Ahmaga*, które wymawiała dzikim, groźnym, albo też żalonym głosem. Gdyby w innych żyła czasach, uważano ją powszechnie za czarownicę, ale nasz pastor, równie dobry, jak uprzejmy, grzeczenie się tylko uśmiechał, kiedy podeszłe damy opowiadały mu dziwne rzeczy, o zaklęciach starej Indjanki. Obok Keturach, siadała Deborah-Kumaher, która opuściwszy nie pożyteczne bóstwa leśne, wzięła się po chrześcijańsku do ogrodnictwa, i częstowała nas dzieci, owocami, jeżeliśmy ją grzeczenie powitali, a przytem dobrze umieli pacierz i naukę kościelną. Za nią siadały inne Indjanki, o wydatnych kościastych rysach i wązkich błyszczących czarnych oczach.

W codziennym życiu najwięcej mnie zadziwiała ich zręczność, w wypijaniu cydru. Babunia hojnie ich nim częstowała, a ja jako najmłodszy, miałem obowiązek roznoszenia i nalewania. Prócz Indian mieliśmy jeszcze i murzynów; ciekawy to był zbiór, zwłaszcza jeden z nich, książe afrykański, zaprzędany w dzieciństwie gwinejskim kupcom, którzy go do Bostonu przywieźli; służył on wojskowo pod generałem Hull, w czasie wojny o niepodległość, a po jej skończeniu tylko w dniach uroczystych, Boston Fodach, ukazywał się w całym blasku wojskowych przyborów. Od niepamiętnych czasów znali go w Olddown a nikt go starszym, ani młodszym nie pamiętał; majestatycznej i dumnej postawy, pełne wdzięku miał ruchy, włosy wełniaste i kręte, śnieżnej były białości; trójgraniasty kapelusz, z pioropuszem, szlify i szpada, przejmowały nas chłopców niemem podziwieniem.

Przyglądaliśmy się owemu bohaterowi, który nas uczył wojennej musztry i serdeczną dobrocią pociągał ku sobie.

(d. c. n.)

Odpowiadamy na żądanie p.*** że artykuł: *Odwiedziny Czarnolasu*, nie przypada do ram naszego pisma.